Nr. 11. Warszawa, dnia 2 (14 Marca) 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

FILOZOFIA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

UPADEK CRISPIEGO.

Menelik z Baratierim zwalili człowieka, który jeszcze dziesięć dni temu wierzył, iż jeśli nie umrze na urzędzie prezesa ministrów, to przynajmniej do skonu Humberta I piastować godności swej i władzy nie przestanie. Pogrom pod Aduą zatrząsł i Crispim, i jego upór przełamał, i jego chciwość zmógł. Już d. 3 b. m., nazajutrz po otrzymaniu niewątpliwej już wiadomości. Sier Francesco podał się dymisyi. Król jej wówczas nie przyjął, ale już d. 4 b. m. nie zdołał się oprzeć natarciu,—bo niezbędny i jakby wieczysty minister naciérał już, aby się tylko czemprędzej wyzuć z tego, czego przedtem tak zażarcie bronił. Dobrotliwy król zamiast od siebie w pierwszej zaraz chwili dać dymisyę ministrowi, który polityką swoją jego samego uwikłał był w starcie z opinią publiczną narodu, pozwolił ją sobie wydrzeć na umyślne dopiero prośby przytłoczonego przez tę opinię człowieka. Przysłowiowe szczęście Crispiego sprzyjało mu więc do ostatka, a sprzyjać mu nie przestaje i teraz w sądach, rozmyślaniach i mniemaniach publicystyki europejskiej. Dzienniki zachowawcze i nie wychodzące z obrębu polityki pozytywnej, sławią go jako jedynego poważnego męża stanu we Włoszech, i ustąpienie jego niemal za klęskę, zwiększającą jeszcze ciężar pogromu aduańskiego, uważają.

Nie mógł sier Francesco wymagać od losu, aby go zupełnie nawet od upadku ochronił. Takie szczęście byłoby już przeciwnym naturze. Gdy lud włoski burzy dworce kolejowe, wyrywa szyny, rzuca się pod lokomotywy, nie daje uwozić dzieci swoich na nowe, w jego uczuciu prawdopodobne, rzezie; gdy pozwala do siebie nawet strzelać, gdy idzie chętnie pod kolby i pałasze, aby na swój sposób wyrazić zdanie o Erytrei i polityce erytrejskiej, i swoimi też środkami na poglądy sfer kierujących wpłynąć; gdy samemu wreszcie Crispiemu po wybiciu szyb w pięknej wili rzymskiej, gotów już był wybić co innego, gdyby nie zamknięcie ulicy przez wojsko,—już i najlepszy byłego dyktatora włoskiego przyjaciel, Los, nic dla niego zrobić nie mógł, a owe objawy ludowe były tak naturalne, jak naturalną również, po uśmierzeniu się pierwszych gniewów, będzie w tych samych, anarchicznie motających się, tłumach patryotyczna żądza odwetu za Aduę. Ale tę pomstę wykona już kto inny, nie Crispi, a do wykonania jej nie przystąpi odrazu, nie rzuci się na Abisyńczyków po pierwszem już zebraniu sił rozgromionych, aby wszystko, coby mogło zwycięztwo zapewnić, nierozważnie znowu utopić w klęsce. Może się pomstą nie zadowolą następcy Crispiego i jego kolegów z prawolewicy, z łona oportunizmu włoskiego wyszłych, może poprowadzą również politykę zdobywczą; uczynią to jednak z większą rozwagą: zwycięztw nie będą improwizowali, jak Crispi. i warunki im zapewnią w poważnych, cierpliwych przygotowaniach.

Król Humbert osobiście chciał odwetu natychmiast, i dlatego przedewszystkiem zwrócił się do Ricottego, który raz już był jego ministrem wojny, a jest dziś może najpoważniejszym generałem włoskim. Ale ta powaga właśnie nie pozwoliła mu przyjąć mandatu. Człowiek, który woli wojsko mniej liczne, ale lepsze, i obstaje za zmniejszeniem liczby 12-u korpusów do 10-u, za to lepiej wyćwiczonych i lepiej zaopatrzonych — odrazu już nie mógł się zgodzić na warunek królewski, aby liczebność armii na stopie pokoju żadnej nie doznała ujmy. Oprócz tego, były względy już bardziej konkretne, dotyczące owego właśnie odwetu. Dobry żołnierz wiedzieć musiał, że działanie w Afryce, bezzwłoczne, z natarczywą niecierpliwością dokonane, nie da sercom włoskim zadośćuczynienia, mogłoby nawet na nowo je rozranić—a taka ponowna rana byłaby już chyba straszną w swych następstwach. Król, jak się zdaje, uległ, lecz do Ricottiego już nie wrócił: głównie go do odwetu na gorąco jeszcze potrzebował; gdy sam ostygł w swej żądzy, poznał, że właściwszem jest powołanie jakiejś osobistości wybitnej w polityce—i po naradach z prezesami obu izb sejmowych zwrócił się do Rudiniego.

Rudini miał dość kłopotu z wytworzeniem gabinetu, ale go d. 9 b. m. wytworzył. Nie jest on tu już nowicyuszem. Do maja 1892, jako przewodnik szczerej prawicy, trzymającej z monarchią, uważającej ją za siłę, która spaja naród, był prezesem ministrów. W polityce wewnętrznej stał na gruncie stronnictw zachowawczych europejskich, ale bez pruskiej zaciekłości, ze szczerem przekonaniem, że instytucye już istniejące nie mogą być alfą i omegą mądrości, a polityka nowoczesna nie powinna mieć dla siebie magnetycznego bieguna w klasach wyższych, przewodniczących lub za przewodnie uznawanych, ale mniej licznych i mniej potrzebujących. W polityce zagranicznej pochylał się ku Francyi — i choć za niego trójprzymierze zyskało dalsze trwanie, chciał w niem widzieć Włochy jak najmniejszem przytłoczone brzemieniem i niezbyt krępującymi spojone węzłami. Był przeciwnikiem polityki zdobywczej w Afryce, ale za to zwolennikiem szczerym — sprawiedliwości na Tanlongów i wszystkich

Banco-romanistów, przez sąd rzymski później uniewinnionych—wprost przeciwnie, niż Crispi. Człowiek w szlachetnym stylu ugrzeczniony, wierny swym przekonaniom, prawy i nie wyrzekający się człowieka prywatnego dla publicznego, forum wewnętrznego dla zewnętrznych — wzbudzał szacunek nawet w skrajnych przeciwnikach, jak radykaliści, socyaliści i apostołowie Irredenty, podszczuwający na Austryę.

Zdaje się, że w chwili obecnej król Humbert, przygnębiony tak, że mówił nawet o abdykacyi na wypadek, gdyby miał podpisać pokój z Menelikiem, nie mógł dłużej nad wyborem się namyślać i lepiej go dokonać, niż to uczynił, wybierając Rudiniego. Ale ten Rudini ma przed sobą zadanie, którego ogrom, gdyby miał być niepodzielnie w program rzeczywisty, a nie izbowy, wprowadzonym, mógłby przerazić: trzeba zwyciężyć w Afryce, oznaczyć polityczne i geograficzne granice tej raczej żądzy kolonizacyjnej, niż kolonii, nazywającej się dziś już wspaniale Erytreją, ustalić stosunki z Abisynią, wogóle z całą „sforą interesów włoskich“; zreorganizować wojsko, zbudować nowe okręty, polepszyć los ludu na Sycylii, powznosić tamy przeciw powodziom namiętności ludowych w całym kraju; rozprawiać się i bić ze stronnictwami, obmyślić nowe podstawy równowagi budżetowej, wprowadzić nowe ciężary skarbowe, wmawiając narodowi ich lekkość i zgoła niewinność, przetworzyć zarząd cywilny, o ile Crispi dawniej już zapadłego postanowienia nie wykonał—i przy tych wszystkich pojedynczych robotach prowadzić ciągle jeszcze jedną, główną: utrwalać i wzmacniać jedność narodową, państwową i monarchiczną, wypromieniającą się z dynastyi; zbijać, co się rozłazi, powściągać, co się wydziera, przycinać, co zbyt w górę strzela... Zaprawdę, nie po różach stąpać będzie nowy minister włoski. I to jeszcze nie wszystko. Prócz spraw wewnętrznych są zewnętrzne. Włochy żyją u siebie w sobie, ale żyją i w świecie. są wielkiem mocarstwem. Z Niemcami i Austro-Węgrami łączy je przymierze europejskiego, i nawet powszechnego na cały świat, znaczenia. Przy wszystkich owych robotach wewnętrznych, odsłaniających niemoc, muszą Włochy na zewnątrz urok siły sprawiać i rzeczywistą siłą być. Ich stosunek do sprzymierzeńców, z litery ciągle jeszcze w tajemnicy trzymanego układu nieznany — nakazuje im trzymanie pewnego *minimum* armii, a ich znowu mała stosunkowo wytwórczość okonomiczna i zadłużenie się dawnemi laty, przy budowaniu niepodległości i jedności narodowej, wymagają oznaczenia koniecznego *maximum*, od owej przymierzowej skali niższego. Urok Włoch przez pogrom pod Adują doznał przyćmienia. Gazeciarze widzą już piękną, w wielkie mocarstwo rozkwitłą Italię, widzą, jak ją obaj sprzymierzeńcy północni od siebie odpędzają. Ale tak źle nie będzie, aby gazeciarze rządzili polityką i światem. Kanclerz Gołuchowski, który w poniedziałek, 9 marca, przyjechał do Berlina, we dwóch, z kanclerzem Hohenlohem, zastanawiali się niewątpliwie nad tym zasobem siły, na jaki Włochy zdobyć się będą mogły na widowni międzynarodowej, ale ich za bezsilne i niepotrzebne nie uznali. Zażądają tylko rękojmi, wytrwałości w tych przysługach, jakie Włosi dziś już dyplomacyi wspólnej przynoszą przez samo należenie do związku — i rękojmie te zyskają. Rudini teraz, po niewątpliwem popieraniu Abisyńczyków przez Francuzów, nie pomyśli o zbliżeniu się do Francyi, ale dla zachowania nadal węzłów z północą będzie musiał niejeden twardy orzech zgryźć — niejedną pokusę od siebie odegnać i dobrze uznoi sobie czoło, nim wreszcie znajdzie najpożyteczniejsze dla ojczyzny stanowisko w trójcy zrzeszonej.

Nowy gabinet włoski składają: Rudini — prezyd. spr. wewn., ks. Gaëtani-Sermoneta — spr. zagr., Ricotti — wojna, Brin — marynarka, Colombo — skarb, Branca — finanse, Gianturco — oświata, Costa — sprawiedl., Perazzi—rob. publ., Guicciardini—roln. i hand., Carmine—poczta i telegraf.

Hr. Gołuchowski d. 9 b. m. przybył do Berlina. Odwiedził kanclerza, książąt i książęce krwi, miał posłuchanie u cesarza, obiad u ambasadora Szögenyi-Maricha, bez toastów, przy obecności obojgu cesarstwa i pierwszych znakomitości. Z cesarzem rozmawiał minister tego dnia dwukrotnie. Na naradach z Hohenlohem i Marschallem dotknięto spraw bałkańskich, trójprzymierza, kwestyi armeńskiej. Zalecono Włochom naprawienie honoru wojskowego, a nietykanie już Abisynii. D. 11 b. m. minister bawił jeszcze w Ber-

---

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRZEMIANA.

Wyszedł Dawid Kwaśny na miasto — opowiada specyalny portrecista i psycholog naszych żydów, p. K. Junosza — usiadł na wzgórzu, objął wzrokiem okolicę i plunął wzgardliwie. W tych dworach — rzekł — mają siedzieć pany, a w tych chatach chłopi? Wcale nie. To ani pany, ani chłopi, to są żydzi. Dawniej oni dostarczali zboża, wełny, mleka, a żyd tem wszystkiem handlował; dziś oni sami handlują. A z czego żyd będzie żył? — Dawid nie znał Kochanowskiego, a gdyby go znał, z pewnością otworzyłby sobie „Satyra“ i czytał:

> Nie masz dziś w Polszcze jedno kupcy a ratajе,
> To największe misterstwo, kto do Brzegu z woły
> A do Gdańska wie drogę z żytem a z popioły
> . . . .
> W przyłbicach kwoczki śledzą, albo owies mierzą,
> Kiedy obrok woźnice koniom na noc bierzą.

---

9)

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

Nora Ibsena jest połowiczną histeryczką — taką powstała w jego poetyckiej intuicyi i głębiej w niej pozostała, niż w jego rozumie: Nora Eleonory Duse jest całkowitą kobietą, przygnębioną przez braki materyalne i ciasne stosunki, gotową w milczeniu poddać się nowemu nieszczęściu. I ona ma w sobie coś z dziecka, jak każda całkowita kobieta, lecz tam, gdzie staje się dzieckiem, jest dzieckiem smutnem. Spada nieszczęście! Rzecz dziwna: niema w niej tej rozpaczliwej chęci oporu, tego okropnego, bezgranicznego, wewnętrznego jęku trwogi, tej histerycznej walki małych dusz o życie. Bo marna jest taka walka, gdzie chcenie i możność w tak nierównym do siebie pozostają stosunku. I Nora Eleonory Duse odpędza od siebie pierwszą myśl trwogi z nagłem zakłopotaniem. Lecz nie podziwia przytem zarękawka swego, jak pani Hennigs. Mówi tylko wciąż do czujnych swoich myśli: Nie, nie! W tem „nie!“ leży cały świat uczuć ludzkich. Lecz nazajutrz, w dzień Bożego Narodzenia, jest jakby pod brzemieniem fatalizmu, wśród nocy bowiem usłyszała w sobie: „tak, tak!“—szept przeznaczenia. Ubiera się na bal, lecz nie w tanie szmatki, jak Nora: kładzie na siebie kosztowną, powłóczystą, ciemno-zieloną suknię — jedyny swój okazały strój balowy i zachowuje postawę wyniosłą, cichą, znużoną. A w miarę, jak akcya postępuje, ona staje się coraz więcej znużoną i więcej zrezygnowaną: śmierć się zbliża, więc ratunku już niema. Kiedy potem, po próbie tarantelowej, Helmer z jadalni woła ją na obiad, wlatuje doń z okrzykiem, w jednym skoku i gdy tak przez chwilę zawisa w powietrzu, robi wrażenie jednej z owych chudych, dzikich, bezradosnych bachantek, które znamy z rzeźb starogreckich.

Akt trzeci. Nora powraca z Helmerem z maskarady. Jest roztargniona, obojętna na wszystko, co się w około niej dzieje. To, co się *stanie*, dla *niej* należy już do przeszłości; stało się *już*, bo *w niej* się stało; mechanicznie tedy wykonywa jeszcze to, co z faktem owym pozostaje w zewnętrznym związku. Kiedy Helmer wypróżnić chce skrzynkę do listów, nie wstrzymuje go za pomocą różnych sztuczek i wykrętów: zdobywa się zaledwie na niedbały, powstrzymujący go ruch— i tak *stać* się musi, zaradzić już niepodobna. Stoi blada, nieruchoma, podczas gdy Helmer list czyta; kiedy się ku niej rzuca, w milczeniu bierze płaszcz i spiesznie wychodzi!

On zaciąga ją napowrót do pokoju i obsypuje ją gradem wyrzutów, w których odsłania się cała małomieszczańska nędzota jego duszy. I teraz rozpoczyna się gra Duse; nadchodzi ta chwila dramatu, ta *jedyna* chwila każdego dramatu, dla której wykonywa rolę.

Stoi koło pieca, zupełnie *en face*, nie rusza się aż do końca jego przemowy. Nic nie mówi, nie przerywa mu. Tylko oczy mówią. Te wielkie, cierpiące, chorobliwie rozwarte źrenice, które wciąż za nim biegają w bezgranicznem, niewysłowionem zdziwieniu, w zdumieniu, spadłem jakby z nieba, a zmieniającem się stopniowo, wolno w niewysłowione, niepojęte rozczarowanie; a rozczarowanie przeistacza się pomału w nieopisaną, gorzką, wstrętu pełną pogardę. I w oczach tych, które wciąż za nim tam i napowrót biegają, powstaje nagle pytanie: kim jesteś, co mnie obchodzisz, czego chcesz tutaj, dlaczego mówisz?

Drugi list ukazuje się w skrzynce i Helmer obsypuje ją czułemi zapewnieniami opiekuna. Ale ona go już nie słucha, i już na niego nie patrzy. Czegóż właściwie chce tutaj ten gaduła? Przecież ona wcale go nie kochała. Był niegdyś, jakiś mężczyzna, który ją ogrzewał i bronił. Tego mężczyzny już niema. Ona przecież nigdy nie kochała!

I wychodzi obojętnie, w złym humorze, przebiera się i wraca bardzo śpiesznie, byleby się prędzej stąd wydostać. On wstrzymuje ją. Po co? Przecież zbudziła się w niej teraz kobieta, kobieta z największą jej hańbą—świadomością, że nie ko-

Małomiasteczkowy Jeremiasz nie przypuszcza, że ma w wielkim poecie takiego sprzymierzeńca, więc samodzielnie zdobywa się na wymowne wyrazy zgrozy i żalu — a trzeba mu przyznać, że ze swego stanowiska ma słuszne powody do narzekań. Bo to, co p. K. Junosza przedstawił w zabawnej karykaturze, to jest jednem z najciekawszych i najpoważniejszych zjawisk naszego życia społecznego. Warto mu się przyjrzeć baczniej.

Jakkolwiek nasi ziemianie uważają stare nałogi, zwyczaje i pojęcia za włosy własne, nowe zaś sposoby życia i pracy — za perukę, którą kładą tylko w ostateczności; jakkolwiek żaden Plutarch nie będzie między nimi szukał wzorów inteligencyi, energii, umiejętności i pośpiechu w przyswajaniu sobie zdobyczy postępu, jednakże i te omszałe, żółwiowe, ciągle po za siebie patrzące organizacye, musiały poczuć silne uderzenia losu i pomyśleć o zasłonięciu się od nich. Wystąpiła bowiem przeciw nim straszna siła, której nie można było ani przebłagać, ani pokonać, która urągała zarówno ich skargom i modłom, jak mędrkowaniu i nadziejom — mianowicie płodna a tania produkcya rolna narodów i ziem młodych. Ameryka i Australia zaczęły rzucać na rynek europejski olbrzymie masy zboża po cenach niesłychanie nizkich i wyłączających współzawodnictwo starego świata, wyzyskującego przestarzałymi środkami wyjałowioną ziemię. Tej druzgocącej konkurencyi niepodobna było wytrzymać, więc należało ustąpić z pola. Ci ze zwyciężonych, którzy odrazu nie zginęli, którzy opuściwszy rolę nie przenieśli się do służb i najmów wszelakiego rodzaju, lecz chcieli wytrwać na niej, musieli wytężyć usiłowania w dwu kierunkach: handlowym i przemysłowym. Gdy ceny zboża spadły prawie do poziomu kosztów produkcyi, wytwórca dla uratowania bodaj drobnego rynku zaczął starać się o usunięcie ze stosunku między nim a spożywcą rozmaitych, nieraz licznych pośredników, którzy zabierali mu znaczną część korzyści. Dawniej rolnik sprzedawał zboże żydkowi z najbliższego miasteczka; ten odstępował je (z zarobkiem) kupcowi większemu; tamten — jeszcze większemu (z zarobkiem), tak że zanim owo zboże przeszło ze spichrza do ust konsumenta jako chleb, przebywało szereg stacyj, z których każda uskubnęła dla siebie jakąś część jego wartości pieniężnej. Dopóki ziemianin miał czem dzielić się z pośrednikami, dzielił się chętnie i ulegle; ale gdy zniżone ceny dawały już tylko niewielką przewyżkę nad koszty produkcyi, pragnął ją ocalić dla siebie. A więc zaczął sam sprzedawać zboże wielkim hurtownikom i młynom, wysyłać je za granicę — został handlarzem.

Handlarzem nie samego zboża. Bo gdy go smutne doświadczenia własne i cudze przekonały, że nawet przy najpomyślniejszych warunkach sprzedaży uprawą samego ziarna nie utrzyma się, zaczął wynajdywać i stwarzać sobie źródła t. zw. dochodów dodatkowych, uzupełniać gospodarstwo rolne przemysłowem. A więc: jedni założyli chmielniki, plantacye cykoryi lub szkółki drzew owocowych i dzikich, drudzy urządzili racyonalną hodowlę ryb, inni wzięli się do wyrabiania masła centryfugowego i pootwierali w miastach mleczarnie, inni rzucili się do uprawy nasion, do produkcyi serów francuskich i szwajcarskich, wędlin i konserw i t. d. Dzięki tym przedsięwzięciom rolnictwo nasze nie zażegnywało przesilenia, ale, pomijając szczęśliwe ich rezultaty, w ciągu ostatnich lat dziesięciu dokonała się ogromna zmiana w pojęciach społecznych tej klasy, którą Kochanowski odganiał od przemysłu i handlu, a którą bohater Junoszy opluł za pokalanie się niewłaściwem zajęciem. Dziś jest to już niewątpliwym faktem, że nie ma takiej produkcyi którejby t. zw. „szlachcic“ nie uchwycił się skwapliwie, jeśli tylko ona obiecuje mu zyski i nie ma takiego rynku, na który on swego towaru sam nie dostawił, jeśli tylko ma nadzieję osiągnięcia zysku. Przedewszystkiem z namowy i pod przewodnictwem jednostek energiczniejszych pozawiązywano rozmaite spółki, których celem jest z jednej strony zbiorowe oddziaływanie na ceny, z drugiej — wejście w możliwie najbliższe zetknięcie ze spożywcami. Dalej z tą samą podwójną dążnością zaczęto uczestniczyć w specyalnych jarmarkach (chmielarskim i wełnianym), gdzie również producenci stają wobec kupców hurtowych, pomijając dawne pośrednictwa. Zresztą ziemianin, bez względu na swój stan majątkowy a nawet tytuły i pretensye społeczne, nie ogranicza się na handlu wielkostylowym, lecz staje w rzędzie przekupniów. Jak pachciarz rozwozi po domach mleko, masło i sery, jak ogrodnik dostarcza warzyw i owoców, jak rzeźnik gotów każdą śpiżarnię prywatną zaopatrzyć w wędliny. Nie gardzi najdrobniejszym handlem, który dawniej należał wyłącznie do straganiarek i biednych żydówek, uwijających się po podwórzach z koszykami. Upewnijcie „szlachcica,“ że będzie zarabiał na sprzedaży ulęgałek lub skórek zajęczych, puści natychmiast w ruch gromadę odpowiednio wytresowanej służby z tymi artykułami. A co także zaznaczyć trzeba, sąsiedzi nie będą mu tego brali za złe, lecz jedni będą chwalić jego spryt, drudzy mu zazdrościć.

Nie dość na tem. Jak wiadomo, po wsiach i miasteczkach powstało w ostatnich latach wiele sklepów chrześciańskich, prowadzonych przez chłopów, mieszczan i szlachtę. Te ogniska handlu, obejmujące całą skalę przedmiotów codziennej potrzeby, również wyparły żydów z ich oddawna i wyłącznie zajmowa-

---

chała. Czegóż chce od niej? Jakiż on stawia opór? On—? *Tant de bruit pour une omelette!* i wypowiada mu to śpiesznie, w kilku obojętnych zdaniach, wzrusza ramionami, odwraca się od niego i wychodzi. Na dole zaś drzwi zapadają z trzaskiem. Niema tu mowy o jakiejś „cudowności!“

Tym sposobem wytworzyła Duse jednolitość w rozdwojonej Norze. Obrachunek? Obrachunkiem między kobietą a mężczyzną może być tylko pocałunek, lub wzruszenie ramion. Argumenty? W twardej rzeczywistości niczego jeszcze nie dokonano argumentem—najmniej zaś znaczy on w stosunku mężczyzny i kobiety. Pewnego dnia Nora budzi się i Helmer jest jej wstrętny. I od wstrętnego tego przedmiotu ucieka w takim samym instynktownym popędzie, w jakim człowiek żywy ucieka od rozkładającego się trupa. Nie może w tem być nic „cudownego.“ Cudownem byłoby raczej, gdyby człowiek żywy postradał zmysły i powrócił do trupa.

Równie samowładnie, jak z tekstem „Nory,“ postępuje Eleonora Duse z tekstem wszystkich swoich ról. Widzisz poprostu, jak sobie rolę przystosowywa, jak tekst ten w ustach jej innego nabiera znaczenia, jak ze słów napisanych inna wyłania się istota, o której poeta nie myślał i której w największej ilości wypadków, z punktu widzenia swego na życie, wcale w ten sposób nie mógłby był ukształtować; istota, która jest więcej kobietą i kobietą w głębszem znaczeniu, aniżeli światowe damy z dramatów Ibsena i Sardou, istota daleko *prostsza* od tej, jaką przedstawia tekst, ale zarazem o wiele też *większa*. Eleonora Duse nie jest dialektykiem, jak Ibsen i Sardou, — cała robota zewnętrzna, całe owo wyrafinowane rozumowanie nic jej nie obchodzą. Nie dla niej to jest pisane. Pojmuje rolę instynktem, delikatnym swoim pewnym, nieomylnym instynktem kobiecym—instynkt ten zaś to ona sama, a każda jej rola — to również ona sama. Mało się zmienia, nie jest naturalistką, wyławiającą niezliczoną mnogość drobnych rysów i składającą z nich następnie mozaikę osobowości; jest bezwzględnie prawdziwą, lecz nie objektywnie prawdziwą, raz taką, raz inną, raz znowu jeszcze inną, stosownie do ról wielorakich. Nie, jest tylko prawdziwą, jak człowiek, mający odwagę i dumę przedstawienia się takim, zupełnie, całkowicie takim, jakim jest istotnie. Nie dba o wielostronność, gra na podstawie tych trzech, lub czterech głębokich, zasadniczych rysów swojej natury. W wielkiej takiej prostocie tkwi też niebezpieczeństwo jednostajności i nie uszłaby jej Duse, gdyby nie posiadała tej rozedrganej duszy, tej bolesnej głębi wewnętrznej, która przed Duse nigdy może nie ukazała się ze sceny, a z której w każdym razie nikt przed nią ośrodka czucia kobiecego nie uczynił. Jest swobodna i nawpół zatopiona w sobie — jako całkowita i nienaruszona natura kobieca o tej nierozerwalnej jedności, jaka jest podstawą normalnej kobiety: kobieta-dziecię i kobieta-matka zarazem; istota, nosząca na sobie znamię głęboko wrytych w nią przygód kobiecych, z wypisanym w rysach tragizmem życia kobiecego — i tragizm ten żyje w grze jej na scenie. A że prócz tego nic ją nie obchodzi, więc gra jej taka jest prosta, a że nienadszarpaną, całkowitą jest kobietą, więc gra jej ma tę cichą, nie dającą opisać się godność. I podobnie, jak wszystko ona upraszcza, tak też uszlachetnia wszystko. Stworzone bowiem przez nią postacie działają na podstawie jedności natury swojej kobiecej, łamiąc się tedy, nienawidząc, prześladując, szkodząc, wszystkie jeden mają motyw, reagują na *crimen laesae majestatis*, popełniony wobec ich natury kobiecej, mszczą się za to, czego prawdziwa kobieta *nigdy* nie przebacza, mszczą się za znieważenie ich świętości kobiecej i czynią to dlatego bez patetycznych ruchów, bez hałasu i okrzyków tragicznych, lecz spokojnie i cicho, tak jak robi się coś samo przez się zrozumiałego — z głuchym spokojem, z cichą obojętnością, jak nienaruszona natura znosi przeznaczenie i dopełnia.

Tak grała Duse „Norę;“ ale tak również, z tego zasadniczego wychodząc nastroju, grała „Klotyldę“ w „Fernandzie“ i Odettę w sztuce tegoż imienia, co było trudniejsze. Tak Klotylda, jak i Odetta są naturami gminnemi. Klotylda, dystyngowana wdowa, mści się na długoletnim swoim kochanku, młodym człowieku z rodziny dumnej ze swego szlachectwa, za to, że

nych stanowisk. Czytelnik bardzo łatwo wypełni sobie szczegółami ogólne zarysy tej zmiany, jaką powyżej nakreśliliśmy; nam zaś zaznaczone objawy wystarczają do stwierdzenia następujących faktów i wniosków:

1) pojęcia ekonomiczne społeczeństwa, a zwłaszcza tej jego klasy, którą nazywamy szlachtą ziemiańską, uległy świeżo wyraźnej demokratyzacyi;

2) klasa ta rzuciła się namiętnie do wyrównania w swym dobrobycie uszczerbków, spowodowanych spadkiem cen zboża, zapomocą gospodarki przemysłowej i handlu;

3) skutkiem tego zwrotu żywioł, który od wieków, prawie bez współzawodnictwa, władał sprzedażą-kupnem płodów rolnych, żydzi, zostali w znacznej mierze od nich odsunięci, przyczem jedni utracili tylko część, a drudzy całe pole swych operacyj i zarobków.

Mniej widoczną jest przemiana losu pierwszej kategoryi, mianowicie żydów bogatszych, zajmujących się pośrednictwem wyższych stopni; natomiast zmienione położenie kategoryi drugiej, żydów ubogich, odrazu uderza w oczy. We wsiach bowiem i miasteczkach coraz wyraźniej występuje i mnoży się proletaryat izraelski, który dawniej żył z dworu i chaty, który oblatując ciągle okolicę, nabywał wszelkie produkty rolne, a który dziś został usunięty przez ziemian handlujących samodzielnie i tylko jeszcze coś wyssać może z gospodarstw chudych, wycieńczonych, bankrutujących, a więc dla niego wcale niepożywnych. Kto zna stosunki wiejskie, ten już przyjrzał się owej nędzy i wie, że ona ciągle jeździ na „biedzie,“ ale już rzadko wyjeździ nią bogactwo.

Ponieważ jest to proces czysto ekonomiczny, więc nie podlega żadnym sądom i instancyom moralnym, których wyroki nie miałyby nań żadnego wpływu. Ziemianin nie dlatego wziął się do przemysłu i handlu, ażeby zgubić żyda, lecz ażeby uratować siebie; myślał o własnej, a nie o jego skórze. Przypuszczać nawet można, że on z żalem wyszedł ze swego dawnego położenia, że wolałby częścią obfitych dochodów opłacać wyręczyciela w kłopotach handlowych, do którego nie miał nigdy ani upodobań, ani zdolności.

Jakież będzie prawdopodobne ukształtowanie się nowych stosunków w przyszłości? Rozwiną się one jeszcze dalej w tym samym kierunku, to znaczy: ziemianin będzie coraz bardziej wkraczał w sferę handlu rolnego, a żyd wiejski i małomiasteczkowy z niej ustępował. Czemże zaś ten ostatni wyłata dziury swego zarobkowania? Musi albo emigrować, albo wziąć się do jakiejś pracy produkcyjnej. Kto wątpi, niech pamięta, że jeszcze przed 25 laty nikt by nie uwierzył, że hrabiowie polscy będą handlowali masłem lub kurczętami, że szlachta będzie wynajmowała swe konie do wywożenia w Warszawie z ulic śniegu lub sprzedawała zwierzynę. Bieda ma swoje nieodparte argumenty, ma niezłomną siłę, ma srogie przymusy, którymi przekonywa i pokonywa zarówno nowo, jak i starozakonnych.

LEKARZE I OGÓŁ.

Stosunek lekarzów do ogółu posiada dużo cech drażliwych i może dlatego nie bywa dotykany publicznie, pomimo że właśnie zawiera rdzeń owej etyki, po której skrawkach chodzą oni i podają je wzajemnie dla przypięcia sobie przy klapach surduta, jako szczególnych znaków, zobowiązujących korporacyę do pewnych czynów i postępków względem *siebie*. Jeżeliby więc lekarz przy drzwiach kolegi postawił swego sługusa, aby ten mówił, że „doktór“ chory lub wyjechał, „ale jest drugi naprzeciwko,“ ogół lekarzy w imię etyki całkiem słusznie potępiłby towarzysza pomysłowego. Ale gdyby ten sam towarzysz na wezwanie ubogiego pacyenta zażądał z góry honoraryum lub nie chciał przerwać winta, puszczonoby mu to płazem. Jeżeliby obejrzawszy receptę kolegi, zapewnił chorego, że użycie tych lekarstw sprowadzi zabójcze skutki, wykluczonoby go moralnie z pod sztandaru Eskulapa. Ale gdyby ten sam rozmyślnie przedłużył kuracyę zamożnego pacyenta, albo wyrwał zęba brudnemi szczypcami i sprowadził zakażenie — na czyn pierwszy nie znalezionoby w kodeksie etycznym artykułu, przewidującego karę, a za drugi nie danoby ostrzeżenia publicznego, chociażby wypadek zakażenia, spowodowany niechlujstwem dentysty, zdarzył się kilkakrotnie. Jeżeli jakiś specyalista pewnej grupy chorób, cieszący się uznaniem, powagą i bogactwem, zechce grać na strunach filantropii i nie zażąda wynagrodzenia pieniężnego od ubogiej pacyentki, lecz natomiast będzie usiłował sięgnąć po honoraryum do skarbca jej czci, obrzuci ją zniewagą i pohańbieniem — nie straci on ani jednego listka z wieńca swej sławy, ani jednego promyka z aureoli człowieka uczciwego, dobroczyńcy ubogich i „zacnego“ ojca rodziny, a w jego wonnych salonach, przynoszących zaszczyt „przeciętnym,“ nikt nie poczuje zgnilizny moralnej.

Za daleko bym zaszedł, gdybym chciał przedłużać tę litanię. Poprzestanę więc tylko na paru świeżych i wymownych faktach, które jakoś dziwnie, wraz z wielu innymi, znalazły się po za granicami nieustalonej „etyki lekarskiej“: Żona ubogiego urzędnika kolei Wiedeńskiej dostała nagle silnych krwotoków. Zrozpaczony mąż obszedł wszystkich lekarzy kolejowych kilkakrotnie; odprawiano go z niczem albo kazano czekać. Kobieta co chwila omdlewająca w kałuży krwi przeleżała dobę, bo skromny pracownik nie miał pieniędzy na wezwanie lekarza obcego. Dodajmy, iż to wypadek nie pojedynczy, że kołatanie ubogiego urzędnika o pomoc do któregokolwiek z opiekunów jego zdrowia, płatnych przez drogę żelazną, pociąga za sobą taki szereg ceremonij, że można nie-

---

obietnicy poślubienia jej nie dotrzymał, w ten sposób, iż podsyca skłonność jego dla upadłej dziewczyny, skłania go do małżeństwa, następnie zaś obwieszcza mu zwycięsko, z kim się ożenił. Mąż Odetty przychwytuje ją w nocy na schadzce miłosnej i w obecności świadków z domu ją wypędza. W hulaszczem życiu Odetta zbezcześcza przez długie lata nazwisko męża i podrastającej córki. Wskutek tego małżeństwo tej drugiej staje się prawie niemożliwem i mąż usiłuje wymódz na żonie, aby się za większą sumę pieniędzy nazwiska zrzekła. Ona za warunek kładzie widzenie się z córką, a wracając z odwiedzin, w napadzie wzgardy histerycznej dla siebie samej, rzuca się do wody. Oto treść obu tych sztuk, w których Duse okazała największą potęgę i prawdę.

Jako Klotylda, przychodzi do domu gry, aby zasięgnąć wiadomości o młodej pannie, której o mało co nie przejechała— przychodzi jako spokojna, prosta, wielka dama, skromnie ubrana — słowem, kobieta, która była nieszczęśliwą, skarb swój nosi w sobie i dobrą jest. Kochanek wraca z jakiejś podejrzanej podróży, ona zaś, w obawie, że się sama oszukuje, podstępnie wyciąga zeń wyznanie, iż jest mu już obojętną i że on w kim innym się już zakochał. Tą inną jest Fernanda. On chce jej szukać, znajduje ją w tym samym domu i wraca. Klotylda sądzi, że wraca do niej. Trzeba było widzieć tę niemą, promienną radość, jaka z niej tryska, kiedy on wchodzi, to ciepłe światło, wypływające z wewnątrz, drżące chorobliwie, z cierpienia, — opisać tego niepodobna. A gdy wszystko się wyjaśnia, gdy wątpliwości już niema, natenczas przez chwilę pochyla się nad ręką jego, tak jakby ją pocałować chciała i lekko głaszcze ją dłonią swoją... W oczy spojrzeć mężczyźnie temu już nie może, lecz tej ręki kochać jeszcze nie przestała, tę drogą dawczynię pieszczot kocha jeszcze, jako wspomnienie swego szczęścia.

Potem zaś działa, t. j. nie zapobiega akcyi. A kiedy się już stało, w scenie z Pomerolem, broni swego postępku. Duse posiada zupełnie odrębny rodzaj dialektyki: — nie jest to dialektyka rozumu i rozwagi, lecz impulsów. Czyniąc źle— a dużo ma ról takich, w których źle czyni, nie idzie za popędem wrodzonej złości, ale działa jakby pod wpływem głuchego przymusu. We wnętrzu jej jest jakaś śmiertelna rana, to, co było źródłem jej sił żywotnych, chore jest, i trawiący, palący ten ból pcha ją do czynów tak krwawych, bolesnych i czarnych, jak jej dusza. Dopełniając ich, zachowuje cichy spokój, są dla niej czemś same przez się zrozumiałem — są stroną zewnętrzną jej wewnętrznej strony. Najdoskonalej przedstawiła stan ten, blade oślupienie opustoszonej nagle duszy, w „Fedorze.“ Jeżeli w chwilach takich wchodzi jej w drogę rezonor francuski, rezonuje za nim — lecz jako kobieta. Znaczy to, że wszystkie jego argumenty zagłusza swojem nadzwyczajnem bogactwem odcieni w wykrzyknikach ze słowami lub bez nich. Nie wychodzi po za zaklęte koło życia swojej wyobraźni, świadomość bodaj sądu objektywnego jest jej obcą.

Kiedy wreszcie kochanek ożenił się już z ową upadłą dziewczyną, Klotylda wybiera się doń pewnego wieczoru i zachowanym kluczem drzwi sobie otwiera. Nagle staje we drzwiach, i widzi, że on jest sam. Cała jej postawa wyraża jakąś, opisać się nie dającą, niemą, stłumioną miłość; jakąś biedną, lękliwą prośbę, błagającą przeszłość, aby się odstała. Jednocześnie zapomina, *po co* przyszła. Dopiero, kiedy on bez ceremonii każe jej się oddalić, rana rozognia się znowu i wtedy dopiero Klotylda mówi mu, kim jest jego żona. Tak samo „Odetta“ kocha i przyjmuje u siebie swego kochanka. Mąż, mały, ograniczony, przesadnie ruchliwy, choleryczny człowieczyna, wraca do domu i chwyta ją za ramię w chwili, kiedy gachowi chce się rzucić w objęcia. Przyłapana na gorącym uczynku, kurczy się formalnie w oczach. Maleje, chudnie, jąka się zmieszana. On wypędza ją z domu, wśród nocy, mimo to, że jest prawie nieubrana. I wtedy odrazu rośnie, staje się wielką i silną kobietą, której odebrano dom i dziecko, której w najbrutalniejszej formie śmiertelną wyrządzono zniewagę; głosem tedy szorstkim, ochrzypłym, jakby głosem broniącego się zwierzęcia, rzuca mu w twarz obelgę—tchórz!— i idzie.

(D. c. n.).

tylko zdrowie, ale i życie stracić, zanim się przekroczy progi nieprzystępne. To też bardzo wielu szuka pomocy po lecznicach tanich „dla przychodzących chorych,“ albo gdzieindziej w razach gwałtownych, o ile środki pozwalają.

Kodeks etyki nie przewiduje również synekury, więc nie wie, do jakiej kategoryi zaliczyć tych, którzy pobierając dość znaczne pensye od zarządów kolei, traktują tłumy jej ubogich pracowników, jako pacyentów bezpłatnych, zasługujących na pomoc „z łaski,“ o ile czasu wystarczy po za praktyką zyskowną. Do owej etyki należy wybór ludzi sumiennych, a do kolei powołanie z ich szeregów takich, którzy za odpowiednią płacę mogliby poświęcić swój czas całkowicie na usługi personelu. W interesie tak zyskownego przedsiębiorstwa komunikacyjnego powinno być zwiększenie liczby lekarzy, gdyż komplet obecny wcale nie wystarcza. Wszak aż nadto jest chyba jasnem, że od zdrowia pracowników zależy stopień produkcyjności ich roboty.

Przystępuję do drugiego przykładu: Niedawno zmarła jedna z moich znajomych, kobieta bardzo ukształcona i wrażliwa. Toczył ją przez czas długi rak w piersiach. Chora jednak nie zdawała sobie jasno sprawy z niebezpieczeństwa, dopóki nie wiedziała o rodzaju cierpienia. Dopiero gdy przy opatrunku po operacyi chirurg zaczął kręcić głową i w ogólnikach przejrzystych wyrażać swój sąd przed kolegą o przebiegu, niedającym żadnej nadziei, chora zrozumiała całą grozę swego położenia. Przy strasznych cierpieniach fizycznych przez kilka tygodni gryzł ją niemiłosiernie ból moralny, bo nie miała żadnych pozorów łudzenia się, do których zwykle najtrzeźwiejsza dusza przylega całą siłą. Wyobraźmy sobie stan psychiczny skazanego na śmierć, któremu wyrok zwykle ogłaszają dopiero na parę dni przed kaźnią i porównajmy go z torturami osoby, której ten wyrok ogłoszono na kilka tygodni przed zgonem, a nie będziemy się dziwić, że kobieta o duszy bolejącej przez całe życie nad cierpieniem innych, pozbawiona uczucia nienawiści, skonała ze złorzeczeniem na ustach, rzuconem jej niebacznym lekarzom.

Ale niebaczność ta przechodzi wprost w szorstką nieceremonialność w szpitalach i klinikach. Lekarze, z nielicznymi wyjątkami, traktują tam chorych najczęściej jako przedmiot ciekawych badań klinicznych, nie krępują się wcale z wypowiadaniem głośnem swych uwag o chorobie i prawdopodobnym jej przebiegu. Niema w tych zakładach ludzi, są tylko numery, według których lekarz prowadzi swój dziennik i obserwacye. Tabliczki zaś nad łóżkiem, z wymienioną chorobą (wprawdzie po łacinie), są jednym z najdotykalniejszych dowodów jak dalece zakorzenił się ten system podeptania wszelkich pierwiastków duchowych i uczuciowych owej warstwy ludności, którą nieszczęśliwe warunki bytu zmusiły do szukania pomocy w szpitalach. Przeciętna inteligencya patrzy na ludzi „prostych“ jako na istoty niewrażliwe, nieczułe. Zapewne, nie wszyscy są oni obdarzeni taką nadwrażliwością nerwów i tem serdecznem przywiązaniem do życia, co sfery ukształcone, które zaznały i mają nadzieję zaznać wiele rozkoszy i powabów świata doczesnego. Chłop idzie do pługa w ostatnim stopniu suchot lub złamany i pokurczony od reumatyzmu. Gdy się zbliża śmierć, on jest już w tej fazie zobojętnienia i przepracowania, że kona tak, jak gdyby przechodził w sen chwilowy. Przytem nie zna wcale ani rodzajów chorób, ani ich niebezpieczeństwa, tak dalece, że w początkach cierpienia nawet obowiązkiem lekarza powinno być podniecanie obawy, przedstawianie groźnych następstw dla wywolania samoobrony. Nie wszyscy pacyenci szpitalni są z takim słabym objawem inteligencyi i apatyą. Idą oni tam w ostateczności, bo szpital, w ich mniemaniu,—to mogiła. Jeżeli więc tylko dokoła widzą chłód badawczy lekarza i słyszą jego okrutny wyrok, wypowiedziany głośno, wtedy chorzy rzeczywiście doznają takiego wrażenia, jakby ich żywcem zamknięto do grobu i kto wie, czy ta rozpacz nie pogorsza choroby i nie przyśpiesza śmierci.

Znam liczne przykłady tych tortur moralnych, sprawianych nawet ludziom ukształconym, których nieszczęście zagnało do owych przybytków pomocy lekarskiej. Nosząc chorobę śmiertelną w organizmie, żyli oni nadzieją usunięcia lub przynajmniej złagodzenia jej. Otoczenie domowe starannie ukrywało prawdę; dopiero w klinice ją wygłoszono. My nazywamy wstręt do szpitala przesądem. Jest to, niestety, odraza świadomie uzasadniona sposobem traktowania chorych, a po zatem—brakiem odpowiedniej liczby lekarzy, co niejednokrotnie bywa przyczyną, że człowiek zapisany do pilnej i ważnej operacyi, czeka kolei swojej dwa lub trzy tygodnie, że czasem przywieziony z chorobą zakaźną szybko rozwijającą się, umiera po godzinach kilku lub kilkunastu, nie doczekawszy się pory odwiedzin lekarskich, gdy natychmiastowa pomoc możeby mu życie uratowała. Dopóki będą takie warunki i taka pomoc, póty ogół nie przestanie żywić odrazy do szpitalów. Nie mniej uprzedzony on jest do tanich lecznic dla przychodzących, gdzie często chory jest zbywany receptą, bez badania i oględzin. (Zastrzegamy, że nie wszyscy lekarze tak postępują).

Wreszcie i po za ogólną organizacyą grzechy podobne dają się nieraz spostrzegać. Dobra dyagnoza fizyczna nie zawsze idzie w parze z duchową. Nie mamy wielu Chałubińskich, którzy umieją jednę z drugą łączyć. Nie mamy lekarzy-psychologów i altruistów w całem znaczeniu, a ów wielki brak odczuwać się daje tembardziej, że społeczeństwo pod wpływem wadliwych warunków życia coraz bardziej choruje nerwowo. Nieraz otucha moralna, płynąca od lekarza, mogłaby choremu dać siły odporne do łatwiejszego usunięcia cierpienia organizmu. Znane są przecież wypadki, że dolegliwości urojone, pochodzące z neurastenii i nie mniej silne od rzeczywistych, znikały natychmiast pod moralnym wpływem dobrego lekarza, a zaniedbane i lekceważone, przechodziły w ciężką niemoc istotną. Są to objawy całkiem naturalne, bo przecież, jak wiadomo, podnieta lub upadek ducha bardzo silnie oddziaływa na ogólny ustrój fizyczny. Ponieważ wpływ ten w wieku dzisiejszym coraz widoczniej się zaznacza, więc pożądanem jest, ażeby każdy lekarz był nietylko dobrym dyagnostykiem, ale psychologiem i nawet poniekąd psychiatrą.

Do tej doskonałości dochodzą, niestety, tylko wyjątki; na regułę zaś trzeba będzie jeszcze długo czekać, zwłaszcza, że warunek ten nie może wejść w żadne nawet najszersze ramy etyki. Ale niechże ów kodeks specyalny postara się włączyć jeden najważniejszy artykuł: nakazujący zdobycie zaufania ogółu. Dojść do tego można jedynie przez prawdziwe kapłaństwo medycyny, której sztandar noszą tłumy Kalchasów. Garstkę tylko prawdziwych kapłanów nasze społeczeństwo posiada i szczyci się nimi. Tem więcej jednak od nich wymagać może rozszerzenia owej *etyki* i przeniesienia jej z teoryi do życia.

Zenon Piętkiewicz.

LIBERUM VETO.

Dalsze medytacye nad kasą literacką. — Dwa kierunki starań: zmniejszenie kosztów życia i ubezpieczenie rodzin. — Niebo i ziemia, czyli gust i konieczność. — Fundusz prasy. — Czemu ona go nie ma. — Sabat przeciw nauce. — Prawdopodobieństwo — Rozchwytane dzieło. — Znak czasu. — Stowarzyszenie starych

Z palcem na czole prasa nasza rozmyśla i rozprawia w dalszym ciągu o „kasie literackiej.“ Jak przystoi gospodarstwu, posiadającemu najbogatsze zarodowe stajnie, obory, owczarnie, kurniki i chlewnie projektów, wyhodowano ich już całe stado na ten użytek. Jedni radzą powiększyć fundusz „literacki“ przy Towarzystwie dobroczynności, drudzy — przyczepić się do jakiegoś już istniejącego stowarzyszenia filantropijnego (np. bodaj do Przytuliska lub Schronienia dla sług), inni wreszcie oświadczają się za jakąś instytucyą samodzielną. Na pochwałę tych obrad powiedzieć trzeba, że one coraz mniej zajmują się dolą literatów, którzy umieją pływać po wierzchu, a coraz więcej niedolą ich owdowiałych żon i osieroconych dzieci, które zwykle toną. Te istoty rzeczywiście powinny mieć uorganizowaną opiekę. Wprawdzie znajdują się one w tem samem położeniu, co wdowy i sieroty niezamożnych kupców, ziemian, oficyalistów prywatnych itd., ale to ich losu wcale nie poprawia, bo — jak mówi Jean Paul — ciężar biedy nie staje się dla nikogo lżejszym przez to, że go wielu dźwiga.

Pozwolę sobie rzucić kilka myśli w tej sprawie, które, jako nieposiadające uroku i przywileju głosów *Kuryerowych*, mogą zginąć w puszczy bez żadnej z mojej strony pretensyi.

Byłoby rzeczą pożądaną i pożyteczną, gdyby literaci posiadali jakieś stowarzyszenie lub jakąś kasę; jeśli to wszakże z jakiegokolwiek względu jest niemożliwem, powinni zapomocą środków możliwych dążyć: 1) do zmniejszenia sobie kosztów życia i 2) do ubezpieczenia po śmierci swych rodzin od ubóstwa. Pierwsze z tych zadań zostało rozwiązanem pomyślnie przez inne zawody. Przypatrzmy się np., co zrobili mądrzejsi od literatów urzędnicy dróg żelaznych? Mają oni swoje kasy emerytalne i pożyczkowe, ale czy poprzestali na nich? Nie, fundusze tam złożono zachowują sobie na starość, na wypadek niezdolności do pracy lub jako zasiłek pozgonny dla żon i dzieci. Brzemię życia zaś zmniejszają sobie innym sposobem — zapomocą sklepów spożywczych, w których nabywają produkty lepsze i taniej, niż w zwykłych. Nie będę tu poruszał szczegółów, zaznaczę tylko, że oszczędność wydatków tą drogą osiągnięta wynosi — jak mnie zapewniano— około 30%, czyli że każdy uczestnik takiego sklepu zamiast 500 rs., wydaje rocznie na artykuły codziennej potrzeby 350 rs. Czemu literaci warszawscy, skoro ich bieda przygniata, nie mieliby uorganizować sobie podobnej ulgi, zwłaszcza że już dziś korzystają nieraz z cudzej — z książeczek urzędników kolejowych? Nie potrafiliby dobrze gospodarować takiem przedsięwzięciem, nie odpowiada ono ich naturze? Ach!.. Nie przeczę, że nam najprzyjemniej i najwygodniej przebywać na Parnasie śród muz, w Olimpie śród bogów, że schodząc z wyżyn podniebnych ku ziemi, doznajemy smutku i wstrętu orłów, którym kazano wraz z kurami rozgrzebywać śmiecie dla wynajdywania w nich ziarnek. Wszystko to jest prawda, ja sam podzielam ten gust w zupełności i mieszkałbym z rozkoszą w dobranem towarzystwie na jutrzence, a zlatywał z niej tylko co rano

na ziemię dla odwiedzenia róż, gwoździków, bzów i fijołków. Ale skoro bieda i nas nie ułaskawia, przeciwnie ściąga z obłoków w zwyczajny piasek lub błoto, musimy ratować się po ziemsku, jak zwyczajni kolejarze lub subjekci handlowi.

Co do drugiego punktu—zabezpieczenia losu wdów i sierot po literatach, to skorzystam z mojej przyrodzonej szczerości i powiem: jest to brzydki wstyd, że prasa warszawska nie ma swojego zbiorowego funduszu, którymby mogła rozporządzać w celach dobroczynności i użytku publicznego. Taki zaś fundusz, powiększony ze stałych składek i ofiar, złożony w banku, a zarządzany przez ludzi posiadających jej zaufanie — miałaby ona oddawna, gdyby śród niej nie było tylu jednostek złych, zawistnych, pyszałkowatych, ograniczonych, niezdolnych do żadnej łącznej działalności, słowem, istot małych, stanowiących najgorszy gatunek człowieczy i największą zawadę wszelkiego postępu. Gdzie główną uwagę zwraca się na to: kto powiedział, jak powiedział, czyim jest bratem a czyim swatem, co wyznaje a w co nie wierzy, jakie ma zdanie o komedyach Jana i powieściach Piotra, komu przy powitaniu podaje trzy palce a komu całą rękę, z kim pije i jada, w której aktorce się kocha a której talentu odmawia itd., tam nie może być mowy o porozumieniu się i owocnej pracy w sprawach społecznych. Jestem przekonany, że gdyby dziennikarzom warszawskim dano sto naczyń filantropijnych na ich użytek własny, wszystkie napełniliby swoją kłótnią i wzajemnemi, mizernemi pretensyami. Prasa nasza — to nie rój pszczół, to nie społeczeństwo mrówek, nawet nie stado bawołów, ale worek raków, które kłują się i szczypią, a wysypane rozłażą się na wszystkie strony. Co zrobić może taka niczem niezwiązana, niesolidarna, nieuspołeczniona gromada, która z zadowoleniem lub obojętnością patrzeć będzie, chociażby jednego z jej członków skalpowano? Najsłabsza przeszkoda ją powstrzyma, najmniejsza trudność— zniechęci, najgłupsze starcie— rozproszy. Będzie ona wiecznie projektować i skarżyć się na niepokonane zapory, których nigdy poważnie nie próbowała usunąć. Usłyszawszy, że ktoś za głośno jęknął, gwałtownie zrywa się, zapala stertę frazeologicznej słomy, wznieca krótki pożar, który szybko gasi sikawkami swych projektów. Niech każdy z nas starszych przypomni sobie, w ilu zebraniach, obradujących nad kasami literackiemi, przyjmował udział i co nazajutrz stało się z najuroczystszemi uchwałami! Wydrwiono je przy koniaku lub czarnej kawie, zmielono na pył zwykłej farsy brukowej. Tak będzie również i z ostatnim wytworem pomysłowości dziennikarskiej. Trochę dla niego utoczą atramentu, przejrzą go do światła jak „handełes“ stary mundur studencki, oświadczywszy, że nic nie wart, zrobią na ten temat kilka „dowcipów,“ które u nas, rzetelnych „paryżan północnych,“ są zwykłem rozwiązaniem najdramatyczniejszych zagadnień — i na tem wszystko się skończy — aż do czasu, gdy znowu jakiś literat lub jego rodzina wpadnie w nędzę i zawoła o ratunek.

Obecnie ta kochająca się ustami a nie widząca lub obojętna sercem „brać“ odbywa sabat. Rzuciła ona całą naukę w kocioł, w który ciągle pluje, tańcząc wokoło i wrzeszcząc. Przebranym za groźnych szatanów i straszne czarownice naiwnym parobczakom i dziewczynom literatury zdaje się, że gdy wypowiedzą przesądne zaklęcia i nadzieją obrazy mistrzów wiedzy na swoje widelki — osoby i rzeczy im nienawistne natychmiast zginą. Naturalnie skutkuje to tak, jak praktyki dzikich. „Indyanin północno - amerykański — powiada Tylor — pragnący zabić nazajutrz niedźwiedzia, wiesza niezgrabną jego postać, zrobioną z trawy i strzela do niej w przekonaniu, że ta czynność symboliczna sprowadzi fakt rzeczywisty.“ Wieśniacy angielscy dotychczas usiłują ukarać winowajcę, zawieszając w kominie skłute szpilkami serce, ażeby skurczyło się od dymu i ażeby tak samo dolegliwe bóle przeniknęły wroga i wysuszyły go. Podobnych aktów okrucieństwa i zemsty dokonywają w prasie warszawskiej rozmaici czerwono-skórzy i chłopi literatury naszej. Sądzą, że gdy zrobią z trawy postać Comte'a lub Darwina i przeszyją ją strzałami, albo też gdy nakłują szpilkami i zawieszą w swym kominie papierowe serce, każdy „pozytywista“ uwędzi się śród najstraszniejszych bólów. Hasłem ich jest dziś „bankructwo nauki,“ które wykrzykują z radością botokudów. Rozumie się owa nauka o ogłoszeniu jej upadłości na żądanie kramarzów warszawskich nic nie wie, tak jak nie wie, ażeby była im kiedykolwiek coś winna. Gdyby żydki, grający akcyami przed gmachem giełdy, chcieli poderwać kredyt Banku Angielskiego; albo gdyby szczury, gnieżdżące się pod Akademią francuską chciały ją obalić, zamiary te byłyby mniej śmieszne i możliwsze do spełnienia, niż protesty naszych ażioterów i gryzienia szczurów dziennikarskich, ogłaszających bankructwo nauki i burzących jej gmach odwieczny i wiecznotrwały. Całe to widowisko byłoby bardzo zabawne, gdyby nie zdradzało naszej zdolności i chęci do uwsteczniania się w rozwoju.

Przed paru tygodniami dowiedziano się, że w warszawskiej Izbie skarbowej pozostało nierozprzedanych kilkaset egzemplarzy *Spisu szlachty Królestwa Polskiego*. Z tą wspaniałą, nieustraszoną i głodną namiętnością, z jaką dziś tłumy zdobywają tylko w kantorach losy loteryi klasycznej, rzucono się do tej książki i rozkupiono ją w ciągu paru dni. Zapewnie, i takie wydawnictwo ma swoją wartość dokumentu historyczno-społecznego, więc ci i owi mogli je nabyć. Ale ten fakt, że ono przed 40 laty, kiedy szlachta miała znaczne przywileje, kiedy np. tylko dla jej dzieci otwarte były średnie i wyższe zakłady naukowe, nie znalazło nabywców, a dziś, kiedy owa szlachta czepia się skwapliwie najniższych zajęć, zostało rozchwytane, ten fakt jest charakterystycznym objawem umysłowego nastroju społeczeństwa. Nie można powiedzieć, ażeby się w nim wyraziła skłonność do marzycielskiego i nadzieją błyszczącego snu, która ubogiemu żydowi z koszykiem ciągle przesuwa przed myślą obrazy minionej, ale nakiedyś przyobiecanej wielkości Izraela; nie, jest to tylko objaw jałowości, bezwładu i niemocy ducha, który nie ma siły do przyjmowania i wyrabiania myśli poważniejszych, lecz zadawala się błahostkami. To też nieraz spotkać można ludzi, których drzewa genealogiczne wyrosły niedawno z pniów chłopskich, mieszczańskich lub żydowskich, a którzy z zapałem studyują... herbarz.

Ponieważ nawet w tej mądrej księdze kobiety, szukające pracy lub sposobów ubezpieczenia sobie życia, nie mogą znaleźć żadnych wskazówek, więc ich szukają gdzieindziej. Jedna z czytelniczek naszych porusza w liście sprawę starych panien, któremi dotąd opiekuje się tylko... humor. Otóż korespondentka nasza donosi, że w Danii zawiązało się „stowarzyszenie wzajemnej pomocy starych panien“ z bardzo rozumną i zacną dążnością. Zadaniem jego jest: środkami wspólnej kasy kształcić kobiety zawodowo. Uczestniczki związku wnoszą składki od 13 roku życia; po dojściu zaś do lat 40 otrzymują emeryturę, do której wszakże tracą prawo w razie wyjścia za mąż, nie tracąc naturalnie uzdolnienia fachowego, nabytego kosztem kasy stowarzyszenia. Gdyby nasze kobiety pomyślały o podobnej instytucyi! Uwolniłaby ona je od czekania z założonemi rękami na „zmiłowanie boskie,“ tj. męża, od łaskawego a nieraz gorzkiego chleba krewnych, od pasorzytniczej, moralnie zabójczej wegetacyi w jakimś stosunku przyczepkowym. A czy nie godne są pomocnej i przyjacielskiej opieki te, które już nie czekają na owo „zmiłowanie boskie,“ bo miały nieszczęście popełnić w młodości „błąd,“ innemi słowy: paść ofiarą jakiegoś łotra, który nadużył ich zaufania? Za dumne, ażeby żebrać u kogoś odpustu niepopełnionej winy, za uczciwe, ażeby kogoś oszukiwać, za zbyt rozczarowane, ażeby komuś wierzyć, chcą przejść resztę drogi życia same, o własnej sile, jako stare panny. Zresztą ileż w otchłaniach niedoli ludzkiej znaleźć się może jeszcze innych postaci niewieścich, pragnących lub zmuszonych wyrzec się podpory męzkiej! Dla tego legionu trzeba innej, pewniejszej, dostępniejszej przystani, niż port małżeński, dla tych tonących — skuteczniejszego ratunku, niż mąż, który bywa dla nich łodzią, deską zbawienia, słomką i—brzytwą.

Poseł Prawdy.

Z tajemnic lichwy. Śmierć lichwiarza „kolejowego,“ Bombela, wydobyła na jaw całą jego działalność długoletnią, która obecnie dostała się pod drobnowidz śledztwa. Powołano w tej sprawie przeszło 250 świadków i już sama ta cyfra pokaźna świadczy o ogromie nóg niepospolitego pająka. Potrafił on oplątać swoją misterną siecią znaczną część urzędników i oficyalistów kolei Wiedeńskiej. Obecnie, po jego śmierci w Skierniewicach, spadkobiercy znaleźli weksle, obciążające tych pracowników na krocie tysięcy rubli i wystąpili o ściągnięcie tej sumy, urosłej cudownie z kwoty stosunkowo niewielkiej. Nadzwyczaj jest ciekawa przedsiębiorczość niepospolitego pożyczkodawcy. Zaczął on przed laty działalność tylko z kapitałem 100-rublowym, stosunki zaś z koleją zawiązał w ten sposób, że jako skromny rzemieślnik - krawiec, dostarczał umundurowania dla służby i wkrótce zapoznał się z nią na całej linii. Niektórzy urzędnicy mieli na swych pensyach areszty tak ogromne, że spłacić te długi mogłoby chyba kilka pokoleń. Zaledwie mała garstka szczęśliwych wydobyła się z pod owego haraczu, ale z wielkiem nadwątleniem swych podstaw materyalnych. Tak np. za kapitał rs. 250 wypłacono w ciągu lat czterech po 840 rs. Z czasem lichwiarz rozwinął tak szeroką działalność, że i wydatki na odbieranie pożyczek urosły znacznie. Uważając się więc za przedstawiciela ważniejszej instytucyi kredytowej, niż jakakolwiek kasa pracowników, zwrócił się do zarządu z prośbą o stały bilet wolnej jazdy, a jako motyw podał tę okoliczność, że musi zbyt często jeździć po całej linii dla ściągania rat od dłużników i stawania w sądach. Powiadają jednak, że zmarły był „uczciwszym“ od swych sukcesorów, gdyż każąc sobie wypisywać na wekslach kilkakroć większe sumy, niż rzeczywiste, „prawie“ nigdy nie wymagał całkowitej wypłaty należności zmyślonej, żądał zaś wypisywania jej na wekslach tylko dla większej rękojmi. Nie przewidywał, nieborak, że spadkobiercy inaczej będą rozumieć i traktować tę rękojmię. Bombel sam pożyczył na obrót około 30 tys. rubli, więc płacąc procenty, zapewne niemałe, starał się zarobić możliwie najwięcej. Sprawę wywołał i oddał na drogę sądową zarząd kolei, chcąc tym sposobem uwolnić swych pracowników z pod długoletniego ciężaru lichwy. Jest to bardzo piękne orędownictwo ze strony tej instytucyi i można wnosić na pewno, że wobec nowego prawa i jasnych dowodów, uda jej się pomyślnie wyciąć ten bolący Bombel; ale któż ręczy, że na jego miejscu nie pojawią się mniejsze Bombelki i nie urosną duże, również bolące i ciężkie?

Gdzie jest masowe zadłużenie pracowników, tam nie można przypuszczać, że pożyczają oni na zbytki lub hulanki, tem bardziej, że z lichwiarzem mieli do czynienia przeważnie urzędnicy i oficyaliści niżsi, którzy nie mają czasu na żadne uciechy i rozrywki. Jeżeli więc kolej tak łaskawie bierze ich w opiekę, to niechże pomyśli o zabezpieczeniu i na przyszłość przed plagą pajęczą kosztem skromnego procentu z pokaźnej dywidendy. —z.—

BADANIA NAUKOWE.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Książka p. Karola Potkańskiego. — Pozytywne jej rezultaty. — Postrzyżyny są paru odmiennymi obrzędami, pokrewnymi sobie tylko powierzchownie. — Rodowód każdego z nich. — Wnioski.

Każda praca oryginalna w naszej ubogiej literaturze etnograficzno-socyologicznej jest cennym nabytkiem, tem bardziej zaś rzecz napisana z taką sumiennością, jak książka p. Karola Potkańskiego: *Postrzyżyny u Słowian i Germanów*. Autor w przedmowie wyraźnie zaznacza swój sposób pisania: „Nieraz przy badaniu szczątkowych objawów nie można zupełnie ściśle i dokładnie odtworzyć całości we wszystkich szczegółach; można więc albo je dorobić, uzupełnić, albo zostawić tak jak są, tj. mniej lub więcej wątpliwe. Nieraz tak bywa w paleontologii. W książce półpopularnej z kilku znalezionych kości odtwarza się zwierzę, rysuje się je całe, nawet z sierścią, łuską lub piórami, słowem ze wszystkiem. Obraz taki może być nawet prawdziwym, w każdym zaś razie jest efektowniejszym. W książkach ściśle naukowych albo więcej specyalnych postępują zwykle inaczej. Rysują tylko to całkowicie, co się ma w ręku, co jest zupełnie pewnem i wiadomem, resztę dopełnia się punktowanym konturem i liniami, tak, aby każdy mógł sądzić, co jest *danem* a co *dodanem*. W pracy niniejszej pragnie autor przedewszystkiem zachować naukowy charakter, dlatego też wybrał sposób drugi."

Przyjrzyjmy się więc, co w książce jest „danem."

K. Potkański rozpoczyna swój traktat od zwyczajów, zapisanych przez kronikarzy, i dochodzi do wniosku, że postrzyżyny pierwotnie były, w naszym narodzie, obrzędem powszechnym: obchodzono je na dworze książęcym i w chacie wieśniaka. Dziecku nadawano wtedy imię, oraz wyprawiano ucztę, przyczem dokonywać obrzędu mógł nie tylko ojciec, lecz nawet ktoś obcy. Uroczystość odbywała się w siódmym roku życia. Z czasem zwyczaj zniknął u nas i jedynie szczątkowo dochował się w pewnych przesądach ludu, które nie pozwalają np. strzydz włosów, póki malec nie nauczy się mówić, bo miałby ciężką wymowę itd. W postaci podobnych przeżytków postrzyżyny istnieją w niektórych okolicach Czech i na Morawach: nie strzygą tam dziecku włosów do lat siedmiu, gdyż „straciłoby rozum." Dawny obyczaj naszych pradziadów występuje najwyraźniej u Słowian południowych. Istnieje u Czarnogórzan faktyczne kumostwo, związane ze strzyżeniem, i na ojcu postrzyżynowym ciążą pewne obowiązki moralne. Zdaniem p. Potkańskiego, obrzęd był może świętem odchowania dziecka i wprowadzenia go do rodziny. Przypadał on na Rusi na rok trzeci, w Słowiańszczyźnie południowej na różne lata, od pierwszego do szóstego. Autor mniema, że rok siódmy przedstawia okres najpierwotniejszy: w tym czasie dziecko zmienia zęby, kończy swoje dzieciństwo.

Postrzyżyny były także znane Germanom. Obchodzili oni po raz pierwszy tę uroczystość w dwunastym roku życia, powtórna zaś, polegająca na obcięciu pierwszego zarostu, łączyła się zawsze z innym obrzędem, mianowicie uroczystością nadania oręża na wiecu ludowym. Ta druga ceremonia odbywała się pomiędzy rokiem piętnastym a osiemnastym. Pierwsze postrzyżyny oznaczały dojście do lat, obcięcie zaś zarostu — dojrzałość męzką, jednoczesne z niem nadanie broni — dojście do pełni praw politycznych.

Ale nietylko dwa wymienione szczepy aryjskie znały ową uroczystość. Istnieje ona także w aryjskich dzielnicach Indyj wschodnich. Pierwsze strzyżenie włosów dokonywano tam pomiędzy pierwszym a siódmym rokiem życia (stosownie do kasty), drugie, zarostu, w szesnastym, przyczem młodzieniec powinien był ongi przez rok zachować czystość i nie strzydz sobie włosów. I tutaj p. Potkański stara się dowieść związku pomiędzy pierwszemi postrzyżynami i świętem wprowadzenia dziecka do rodziny z jednej, a dostawaniem i zmianą zębów z drugiej strony. Opuszczamy inne szczegóły, związane z ceremoniami i przechodzimy do pytania, z jakiego źródła pochodzi zwyczaj postrzyżyn. Autor podejmuje go zarówno dla form, w powyższem przedstawieniu wymienionych, jako też dla strzyżenia niewolników u dawnych Germanów (i nawet obcinania warkoczy dziewczynom, wychodzącym za mąż). Mniema bowiem, że wszystkie te zwyczaje wiążą się nawzajem. Jest to owa część dodana. Zdaniem naszem, p. Potkański stawia kwestyę odrazu na gruncie fałszywym. W pewnym ustępie książki czytamy: „Obcięcie włosów miało jakiś związek z życiodajną siłą, postrzyżny zaś ziemskie, w wielu razach, musiały być odbiciem stosunków pomiędzy bogami." W drugiej części wywodów autora zanadto uwydatnia się ten pogląd, bądź co bądź zdradliwy, bo stosunki pomiędzy bogami były w pogańszczyznie odbiciem ziemskich: człowiek pierwotny swoje zwyczaje, obrzędy i usposobienie przenosi systematycznie w świat duchów. Przynajmniej, co do postrzyżyn, twierdzenie, że życie doczesne wzorowało się na postępkach bogów, musimy zaliczyć do bardzo ryzykownych! Idźmy jednak dalej. W jednym z ustępów książki p. Potkański biedzi się długo, jak pogodzić sprzeczny charakter, istniejący pomiędzy różnemi formami postrzyżyn: golono niewolnika na dowód, że nie jest osobą wolną, obcięcie włosów było w tym razie ujmą. Natomiast postrzyżyny dziecka nie są poddaniem jego pod władzę ojca, ale raczej symbolem wyjścia z dzieciństwa, rozszerzeniem praw. Jak wybrnąć z tej trudności, dodajmy, sztucznie stworzonej przez autora? Ucieka się on o pomoc do sfery wpływów i oddziaływań natury nadziemskiej: postrzyżyny były ofiarą z włosów, ale pojętą nie tylko jako ujma. Chodzi w niej o wyjednanie czegoś i upodobnienie się bogom, nie zaś o poddanie się im bezwarunkowo. „Nie braknie bezwątpienia i tej strony (tj. poddania się), ale pamiętać należy, że obie te strony nie wyłączają się wzajemnie i to nam tłomaczy, że raz może przeważać jedna, drugi raz druga... Ostatecznie chodzićby jeszcze mogło o to, czy pojęcie ofiary włosów jako zastępczej (oznaczającej poddanie), jest wcześniejsze od ofiary wyjednania i nabycia pewnych przymiotów, czy równoczesne. Trudno to rozwiązać." Dlaczego jednak obrano na ten cel włosy? „Wzrost ich jest szybszy i dziwniejszy, niż całego ciała." Wszystko to musiało uderzyć umysł pierwotny i doprowadzić go do pewnych wyobrażeń. Co rośnie — żyje, a właśnie włosy posiadały w wysokim „widocznym" stopniu tę siłę tajemniczą. Nie rozwijamy dalej wywodów autora, gdyż poniekąd pozostały one bez rozwinięcia, poniekąd zaś chodzi nam tylko o zaznaczenie jego punktu wyjścia.

Cała ta kanwa dodana jest robiona według recepty *a la* Bastian. Czy jednak rzeczy istotnie tak się miały? W pracy p. K. Potkańskiego jest część bardzo sumiennie opracowana—o Słowianach i Germanach. Autor panuje tam nad przedmiotem. Jest inna, parę ostatnich stronic, poświęcona danym ogólno-etnograficznym. Faktów przytoczył tam dużo, ale stracił nić przewodnią pomiędzy nimi: zestawił zwyczaje obok siebie niewspółrzędne, nieraz zaś nawet mylnie podał opis zdarzenia (np. „grzechotka" australska). Sądzimy, że brak takiego probierza etnograficznego przyczynił się do tego, że p. Potkański nie oddzielił stanowczo od siebie różnych kategoryj postrzyżyn. Uwikławszy się zaś w matni „sił życiodajnych" i naśladownictwa bogów, wprowadził do analizy swojej czynniki, które nietylko nie ułatwiły zadania, lecz owszem utrudniły je. Szuka on wyjaśnienia dla badanego obrzędu, zjawiska, właściwego życiu realnemu, w sferze najnieodpowiedniejszej. Wychodzi na to, iż tylko dlatego człowiek zaczął obcinać włosy, że uznał je za potęgę życiodajną, że postanowił upodobnić się bogom. Sądzimy, że działo się zgoła inaczej. Takie obrządki, jak postrzyżyny, zwykle powstają ze zwyczajów, posiadających tłomaczenie doczesne. Przyobleczono je w szatę sankcyi zaziemskiej i podsunięto wyjaśnienie mistyczne dopiero wtedy, gdy istnienie ceremonii stało się niezrozumiałe dla dalszych pokoleń, które otrzymały ją w spadku po pradziadach. Pogańszczyzna zawsze tak postępuje, i zamienia proste czyny na oczyszczenie i sakramenty w swoim kulcie.

A zatem jak wyglądały rodowody postrzyżyn? Z góry zaznaczmy, że w swoich studyach etnograficznych tylko wyjątkowo natrafiałem to zagadnienie i że zaledwie w jednym przypadku, mianowicie o ile postrzyżyny wiążą się z niewolnictwem lub uobywatelnianiem młodzieży, zaprzątałem się systematycznej danem pytaniem. Wyniosłem przekonanie, że sakrament pogański postrzyżyn pochodzi z bardzo różnych źródeł, zawsze doczesnej natury, przyczem pod tą samą powierzchownością ukrywa się parę zgoła odmiennych obrzędów.

U wielu plemion włosy są przedmiotem nadzwyczajnej troskliwości. Fidzyjczyk nad swoją fryzurą przesiaduje po parę godzin dziennie, strzyże ją w najrozmaitsze desenie, układa w schody, pukle, kule itd. Trefi ją nie dlatego, że ta część ciała jest siedliskiem „jednej z dusz," ale ponieważ pragnie swojej osobie nadać powabniejszy wygląd. Inne szczepy ludzkie hołdują takiej samej zasadzie. Przy bliższem badaniu okazuje się, że sposób trefienia włosów odpowiada poniekąd rasowym właściwościom czupryny i jest niczem innem, jeno rozwinięciem pojęć o pięknie fizycznem, na podstawie ideału rasowego: asyryjczyk, posiadający włosy kędzierzawe, zwijał je w pukle (pejsy Żydów są przeżytkiem tego zwyczaju), wełniasto-włosy murzyn maluje, skleja je według najrozmaitszych wzorów, aryjczyk, mający miękkie i długie kędziory, zapuszcza je, mongolczyk zaś ze wszystkich ras dba najmniej o swoją czuprynę, twardą i mało podatną do trefienia. Każde najmniejsze plemię wyróżnia się zwykle pewnym sposobem noszenia włosów, tylko sobie właściwym, tak samo jak robi na ciele szczególne nacięcia itd. Są to znaki związku plemiennego. Z rozwojem w pewnej grupie stosunków poddaństwa, z natury rzeczy wyniku, że niewolnicy, pochodzący z obcego plemienia, nie mogą nosić tych oznak swoich panów: u Murzynów nie wolno im wycinać na swojem

ciele tych samych blizn, czesać tak samo włosów, u Germanów nie mają oni prawa nosić długich włosów; strzyżono im głowę przy skórze. Początek tego rodzaju postrzyżyn zgoła jest odmienny, niczem nie związany z innemi zastosowaniami obrządku. Są one płodem odrębności plemiennej. Może później zamącono taki rodowód za pomocą mitów, ale będzie to tłomaczenie już podsunięte.

Postrzyżyny, które istniały u Germanów około 15—18 roku życia i polegały przedewszystkiem na obcięciu zarostu, oraz wręczeniu miecza, pochodzą ze źródła zgoła innego. Widzimy pierwowzór tego obrzędu u Australczyków, przyczem wiąże się on z wielu innemi ceremoniami. Dorastający młodzieniec musi uciekać z obozu, ścigany przez starsze pokolenie mężczyzn, w ciągu wielu miesięcy żyć w głodzie i osamotnieniu, nie wolno mu widzieć kobiet, ani tym zbliżać się do niego pod karą śmierci, starcy pastwią się nad nim, kaleczą go, puszczają krew i między innemi poddają obrzezaniu. Pokryty mułem i ostrzyżony, żyje on w najgorszych warunkach. Po długiem doświadczeniu otrzymuje wreszcie nowe imię, oraz insygnia obywatelskie. Pokrewne pierwiastki występują także w postrzyżynach aryjsko-indyjskich: tam młodzieniec, po pierwszem obcięciu zarostu, powinien był rok jeden zachować czystość i nie strzydz sobie włosów. Nie mam miejsca na powtórzenie tutaj zasadniczego wątku moich wywodów, które wejdą do obszerniejszego dzieła; poprzestanę więc tylko na uwadze, iż na podstawie bardzo obfitego materyału doszedłem do wniosku, że w pierwotnej gromadzie ludzkiej istniał antagonizm pomiędzy dojrzałymi już mężczyznami a pokoleniem dorastającem, który kończył się wyrzucaniem wyrostków i pastwieniem się nad nimi*). Z tego źródła powstał z biegiem czasu obrzęd uobywatelniania młodzieży, przyczem do ceremoniału weszły liczne przeżytki dawnego stanu: obrzezanie, nacinanie blizn (i tatuowanie), wyrywanie zębów, między innemi zaś postrzyżyny zarostu. Przyjęte w danem plemieniu znaki stały się znakami, jak mówi p. Potkański, związku sakralnego.

Co zaś do trzeciej kategoryi postrzyżyn w niemowlęctwie. względnie dzieciństwie, nigdy dotychczas nie zaprzątałem się tem pytaniem. Jestem jednak pewny, iż źródło ich nie tkwi w ofierze bogom, lub w pojęciu, że włosy są siedliskiem duszy. Obrzęd ten stał się sakramentem kultu pogańskiego, ponieważ czasy najdawniejsze przekazały go późniejszym w spuściźnie. Jak ze zwyczajów powstaje z czasem prawo pisane, tak samo zwykłe, lecz stale powtarzające się czyny życia codziennego, związane z określonemi epokami rozwoju osobniczego, zamieniają się na obrządki kultu. Zresztą powód mógł być bardzo pospolity: dziecku rosną włosy trzeba więc je obciąć prędzej lub później. Zwyczaj ten, wypływający z praw wzrostu, mógł się ustalić, tj. odbywać się w wieku określonym, jeszcze później zaś otrzymać uświęcenie religijne.

Zatem postrzyżyny w takiem znaczeniu, jak je rozpatruje p. Potkański, przedstawiałyby szereg ceremonij niezależnych od siebie, nawet niezwiązanych z sobą rodowodowo. Golenie niewolników było ujmą. tj. odsądzeniem ich od noszenia znaków plemiennych, właściwych wolnym ludziom. Obcięcie zarostu wynikło z innych pobudek i stało się z biegiem czasu symbolem wprowadzenia w mężkość i zarazem do sakralnego związku plemienia. Postrzyżyny, w dzieciństwie dokonywane, byłyby czynem znowu zgoła odmiennej natury.

Dodajmy nadto, że obcinanie warkoczy panny młodej nie ma nic wspólnego ze wszystkiemi powyższemi ceremoniami. Tu postrzyżyny nie były ani dowodem poddania się, ani ujmą, lecz znakiem przejścia w stan małżeński i powstały dla specyalnej pobudki (rzecz pozostawiamy na uboczu, gdyż p. Potkański potrąca to zagadnienie tylko mimochodem).

Posiadając tak odmienny rodowód i przedstawiając ostatecznie kilka niezależnych sakramentów kultu pierwotnego, postrzyżyny muszą odznaczać się sprzecznym charakterem, i kto zapragnie godzić te pierwiastki, nawzajem się wykluczające, i na ich podstawie szukać początków „obrzędu," ten z góry uniemożliwia sobie rozwiązanie zagadki. Matnia tem zdradliwsza, że umysł pierwotny, po wielu tysiącach lat rozwoju, zaczął *a posteriori* budować teorye dla wyjaśnienia swoich zwyczajów, przyczem dawał tłomaczenie, już zaczerpnięte z wyobrażeń epoki późniejszej.

L. Krzywicki.

*) Porównaj *Horda pierwotna*, „Ateneum," 1894.

Dr. Wojciech Dzieduszycki: *O wiedzy ludzkiej* (Lwów, 1895).

Jest to już dzisiaj wiadomem powszechnie, że zarozumiałość ma się w odwrotnym stosunku do wiedzy. Wymownym dowodem tej prawdy jest dzieło dr. Wojciecha Dzieduszyckiego. Ze swej odwagi zabierania głosu we wszystkich zagadnieniach naukowych, nawet najbardziej zawiłych, stanowiących prawdziwe węzły gordyjskie dla umysłu ludzkiego i rozstrzygania ich w sposób. praktykowany przez Aleksandra macedońskiego, znanym był dr. Dzieduszycki oddawna. W ostatniem swem dziele przeszedł on samego siebie. Rozczytując się w jego wywodach i dowodach, trudno się oprzeć zdumieniu, że autor przy takiem ubóstwie wiedzy, przy takiej nieumiejętności rozwijania swych myśli, ośmielił się rzucić na tak wielkie przedsięwzięcie, jakiem jest — reforma wiedzy ludzkiej. Zrazu zdaje się, że mamy do czynienia z jakąś farsą, dość niesmaczną; wkrótce atoli spostrzegamy, że autor działa w dobrej wierze, w tem samem przeświadczeniu, z jakiem Don-Kiszot uderzał na wiatraki, które wziął za olbrzymów, zagrażających ludzkości.

P. D. zamierzył wykazać, że wiedza dzisiejsza błędną drogą kroczy i zamiast prawdy, podaje jej pozory. Stara się on dowieść, że nie rozum prowadzi do prawdy, ale intuicya umysłowa. Założenie nie jest nowem, nowemi są za to uzasadniające je rozumowania. Rozum — powiada autor — ma przed sobą dwie tylko drogi: indukcyę i dedukcyę. Indukcya opiera się na doświadczeniu. Otóż doświadczenie mówi tylko o tem, co się działo i dzieje, ale nie mówi, co się dziać będzie. Opierając się na swojem doświadczeniu, możemy, co najwięcej, wnosić, że to, co się działo w przeszłości, *może* się powtórzyć i w przyszłości. Sama ta jednak możliwość jest dość wątpliwą, przypuszcza ona bowiem tożsamość okoliczności, w jakich pewien fakt się zdarza. Lecz o tożsamości warunków nie może być mowy, niema bowiem w rzeczywistości dwóch rzeczy, któreby były zupełnie do siebie podobne. Co więcej, doświadczenie ludzkie ogarnia zaledwie małą cząstkę rzeczywistości. Któż nam zaręczy, że po za tem, o czem nas doświadczenie poucza. nie dzieją się rzeczy wręcz przeciwne doświadczeniu? Że tak być może, a nawet tak jest, dowodzą tego liczne cuda z przeszłości, a obecnie — zjawiska spirytystyczne. Wynika stąd z nieubłaganą konsekwencyą wniosek, że nie ma w przyrodzie praw stałych i niezmiennych, że same własności rzeczy ulegają zmianom. Człowiek, którego własnością jest śmiertelność, jeżeli wynajdzie eliksir życia, stanie się nieśmiertelnym. Widzimy więc, że uogólnienie indukcyjne najmniejszej nie ma podstawy. Co się tyczy dedukcyi, to ta podaje we wniosku to tylko, co się już zawiera w założeniu, którem jest uogólnienie indukcyjne. Jest ona zatem kręceniem się w kółko. Rozum przeto sam przez się nie jest zdolny doprowadzić nas do poznania prawdy, podaje on nam tylko prawdopodobieństwo. Poznaniem prawdy bezwzględnej może nas obdarzyć tylko intuicya umysłowa. Czem jest ta intuicya, nie umie autor na to odpowiedzieć, ale może za to nakreślić szczegółowo obraz prawdy, jaką tej intuicyi zawdzięcza. Zechciejmyż ją poznać.

Środkowym punktem tej prawdy jest następujący pomysł: „Bóg wyobraża sobie świat, swoje wyobrażenia narzuca duchom poznającym, które sobie także na swoje podobieństwo wyobraził, a wszystko jest tem, czem je sobie Bóg wyobraził. Jeżeli Bóg coś sobie pomyślał, jako istniejące niezależnie od ograniczonych podmiotów, jest rzeczywistością — w przeciwnym razie jest tylko wyobrażeniem naszem — rzeczywistość, jako wyobrażenie, ale nie jako rzecz egzystująca po za naszym umysłem" (str. 119). Z całej tej gadaniny, z pewnem namaszczeniem wygłoszonej, okazuje się jasno, że jak przedmioty zewnętrzne, tak i duchy poznające, będąc niczem więcej, jak wyobrażeniami Boga, nie istnieją same w sobie. Nietylko świat zewnętrzny jest dla nas złudzeniem, ale takiemże złudzeniem jesteśmy sami z całą swą samowiedzą, ze swemi uroszczeniami do wolnej woli i nadziejami względem osobowej nieśmiertelności. Nasze myśli, uczucia i postanowienia tak samo nie są naszemi, jak i spostrzeżenia. Są one wyobrażeniami bożemi, które w nas odbijają się, jak w jakiem zwierciadle. bez żadnego udziału z naszej strony... Takie to zapatrywania wygłasza pisarz, który w innych swych dziełach. a nawet w tem samem, występuje jako gorliwy obrońca dogmatów chrześciańskiego spirytualizmu! Ale też nie trzeba myśleć, azeby on przywiązywał do swego pomysłu takie znaczenie, jakie mieć powinien. Wygłasza on go ubocznie, mimochodem i nie czuje się bynajmniej nim skrępowanym w innych swych twierdzeniach i zapatrywaniach, które nietylko nie mają z nim nic wspólnego, ale nawet wręcz mu są przeciwne. Dziwić się temu nie można, mamy tu bowiem do czynienia nie z rozumem, który jest obowiązany do logicznej konsekwencyi, ale z intuicyą, która z wymaganiami rozumu liczyć się nie potrzebuje. Całe wogóle dzieło p. D. jest niczem innem, jak długą, nudną improwizacyą, w której wygłasza on to, co mu chwilowe usposobienie albo luźne przypomnienia podyktują. Ani zastanawia się nad tem, co ma powiedzieć, ani zdaje sobie sprawy z tego, co już powiedział. To też na każdej stronicy jego dzieła napotykamy tyle sprzeczności i niekonsekwencyj, że chcieć je wszystkie rozebrać i ocenić, znaczyłoby podjąć zadanie, któreby się równało pracy Herkulesa, oczyszczającego stajnię Augiasza. Jako próbkę zgodności logicznej autora. przytaczam jeden tylko szczegół. Utrzymuje on, jak wiemy, że prawa przyrody nie są stałe, niezmienne. Nie przeszkadza mu to jednak twierdzić, że gatunki i rodzaje są stałe i niezmienne, że mają one nawet byt niezależny od jednostek, jako wyobrażenia boże. A przecież takiemi wyobrażeniami są i prawa przyrody!

Zaznaczyłem powyżej, że autor wyznaje otwarcie, iż nie wie, czem jest intuicya. Zdaje mi się jednak, że na to pytanie nie trudno odpowiedzieć. Poznaliśmy już jedną jej własność, a mianowicie, że nic sobie nie robi z przepisów zdrowej logiki. Jeżeli teraz wykażemy, że tak samo zachowuje się ona wobec faktów wiedzy ludzkiej, stwierdzonych wiekowemi do-

świadczeniami, to będziemy mieli dokładną odpowiedź na to, czem jest intuicya. Jest to fantazya, jak w tym wypadku, dość niewybredna, która z tego, co się kiedyś wyczytało lub zasłyszało, ale nie zawsze zrozumiało, wytwarza całość sztuczną, podobną do tej, jaką stanowi szata błazna cyrkowego.

Jak lekceważąco traktuje autor wiedzę ludzką, świadczą o tem wymownie następujące przykłady:

W przedmowie do dzieła wypowiada on zdanie, że „psychologia jest nauką, która opisuje zjawiska duchowe tak, jak się dają poznać za *pomocą wewnętrznej, zmysłowej obserwacyi.*“ Mówiąc zaś o sprawach poznania, utrzymuje, że umysł ludzki nabywa najprzód pojęcia o gatunkach i rodzajach, a dopiero później przychodzi do urobienia wyobrażeń, że pojęciami oderwanemi są takie np. jak: ręka, dach, kwiat, albowiem oznaczają one części, oderwane od pewnej całości...

Arcy ciekawe są jego uwagi, dotyczące natury duszy. Powiada on: „Dusza i sprawy jej nierozciągłe. Nie można ich jednak nazwać bezprzestrzennemi. Duchy znajdują się tam, gdzie się stykają z ciałami, oddziaływając, jak się wyraża autor, na nie i ulegając nawzajem ich wpływom. Dusza ludzka znajduje się zatem w *okolicy mózgu*, w której się nerwy zmysłowe spotykają z nerwami *dowolnego ruchu*, bo tu powstają warunki biernego poznawania i czynnego działania duszy. Zmienia ona zatem miejsce, które zajmuje w przestrzeni, ile razy poruszamy głową naszą!“ W całym tym ustępie tyle niespodzianek dla czytelnika, obeznanego z obecnym stanem wiedzy, ile w nim jest wyrazów.

Sądzę, że przytoczone wyżej próbki pomysłowości dr. W. Dieduszyckiego i jego uczoności są aż nadto wymowne same przez się, ażeby potrzeba było jeszcze czynić jakieś uwagi.

Mógłby mi kto zarzucić, że niepotrzebnie sam się zajmuję i zaprzątam czytelników *Prawdy* dziełem, które, ściśle rzecz biorąc, nie zasługuje nawet na bibliograficzną wzmiankę. Uwaga ta byłaby słuszną w każdym innym wypadku, ale nie w obecnym. Trzeba bowiem pamiętać, że autorem jego jest pisarz, który wzbogacił kilkudziesięciu tomami półki księgarskie, który powszechnie jest znanym, jeżeli nie ze swych dzieł, to przynajmniej z odczytów publicznych, miewanych w Warszawie, Lwowie i Krakowie i który, dzięki usłużnej reklamie dzienników, zamieszczających bezpłatnie jego powieści i rozprawy o najróżnorodniejszych przedmiotach, cieszy się wśród ludzi, poprzestających na pozorach, niemałą powagą, uchodzi za pisarza niepośledniego talentu i wszechstronnie wykształconego. Z autorami, używającymi takiej opinii, chociażby najniezasłużeniej, potrzeba się liczyć, przynajmniej do pewnego stopnia. Panujące bowiem względem nich uprzedzenie udziela się każdemu z ich dzieł, pozbawia ich czytelników, mniej krytycznych albo też nieobeznanych z przedmiotem, swobody umysłowej, niezbędnej dla ocenienia ich wartości. Obawa tego rodzaju jest tem bardziej uzasadnioną w obecnym wypadku, że dzieło dr. W. Dzieduszyckiego jest poniekąd uprawnionem w swych uroszczeniach przez wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, który uznał je za odpowiadające wymaganiom przy udzielaniu docentury. Nie dość tego; kiedy chodziło o obsadzenie katedry filozofii po p. Raciborskim, który się podał do dymisyi, dr. Dzieduszycki był pomieszczony na liście kandydatów do zajęcia katedry opuszczonej. Wprawdzie był pomieszczony w drugim rzędzie i dlatego musiał ustąpić miejsca swemu współzawodnikowi, p. Twardowskiemu; z tem wszystkiem już to samo, że uznano go za godnego do zajęcia tak wysokiego stanowiska na polu nauki, głównie dzięki pracy powyższej, nadaje temu dziełu niemałe znaczenie. Kto więc przeciwko niemu występuje, musi ten krok dokładnie uzasadnić, przytaczając fakty, któreby zdolne były przeważyć nad znaczeniem, jakie mu nadano nie dla jego naukowej wartości, ale dla względów niemających nic wspólnego z nauką. Względy te łatwo dają się odgadnąć, potrzeba tylko pamiętać, jakie jest nazwisko autora. Są ludzie, którym stanowisko społeczne tak bardzo imponuje, że wobec niego tracą zupełnie swobodę sądu i wypowiadają zdania, wręcz przeciwne swemu przekonaniu. Przyjęcie lub odrzucenie pracy dr. W. Dzieduszyckiego zależało wyłącznie od prof. Raciborskiego, wykładającego filozofię na uniwersytecie lwowskim. Otóż dziwnem się wydaje, że profesor ten, który w każdym innym wypadku okazywał się tak surowym sędzią, iż np. Milla, twórcę logiki indukcyjnej, uznał za człowieka, pozbawionego wszelkiej logiki dlatego tylko, że w swych poglądach na zagadnienia wiedzy ludzkiej nie zgadza się z twierdzeniami kantyanizmu, w tym wypadku okazał się tak bardzo pobłażliwym, pomimo że dr. W. Dzieduszycki nietylko z kantyanizmem, ale z jakąkolwiek bądź filozofią, a szczególnie z tem, co daje podstawę wszelkiej filozofii — z logiką, zgoła nie ma nic wspólnego. Jest to zagadka, której rozwiązanie pozostawiam czytelnikom *Prawdy*.

Władysław Kozłowski.
(Lwów).

Leczenie szkarlatyny. Wiadomo, jak straszne ofiary zabiera co rok ta okrutna choroba i jak dotąd medycyna jest bezsilną w łagodzeniu przynajmniej niebezpieczeństwa. Obecnie w okresie surowicowy przybywa nowy środek ratunku, potroszę już wypróbowany, jak głosi *Annales Pasteur*. Zarazek szkarlatyny nie jest jeszcze znany, ale natomiast sprawdzono tę ważną rolę, jaką odgrywają paciorkowce w powikłaniach przy owej chorobie (zapalenie nerek, wsierdzia, opłucnej itd.). Otóż dr. A. Marmorek, chcąc zabezpieczyć organizm od wpływu tych drobnoustrojów, postanowił stosować surowicę przeciwpaciorkowcową u dzieci, dotkniętych szkarlatyną. Próby te prowadził w Paryżu od 16 października do 30 grudnia r. 1895 (w szpitalu Trousseau). Epidemia, która początkowo przebiegała dość łagodnie, w listopadzie i grudniu stała się groźną. Ze 103 dzieci, przybyłych do szpitala, tylko 7 nie leczono surowicą, gdyż był to już okres łuszczenia. Badanie bakteryologiczne u wszystkich dzieci wykazało obecność samych paciorkowców lub w połączeniu z innymi zarazkami. U 17 znaleziono oprócz paciorkowców, laseczniki Loeffler'a; z tej kategoryi 4 zmarło, pomimo stosowania surowicy przeciwbłoniczej i przeciwpaciorkowcowej. Z pozostałych dzieci jedno jeszcze zmarło na zapalenie płuc. Wszystkie zaraz po przybyciu do szpitala otrzymywały dawkę 10 ctm. sześć. surowicy przeciwpaciorkowcowej, w wypadkach zaś ciężkich—20 ctm. sześ. Leczenie ograniczało się wyłącznie do zastrzykiwania, a nadto — przepłukiwań gardła środkami odkażającymi — szczepienie stosowano codziennie, aż do zniżenia ciepłoty ciała. Wpływ tego leczenia najwyraźniej dał się zauważyć przy obrzmieniach gruczołów szyjowych, które szybko się zmniejszały i nie przechodziły w stan ropny (19 wypadków). Na cierpienia uszne surowica również wywierała wpływ dodatni; u czworga dzieci z obustronnem zapaleniem po zastosowaniu tego lekarstwa nie doszło do ropienia. Białkomocz znikał po 1—2 zastrzyknięciach. Tylko przy bardzo ciężkich powikłaniach surowica przeciwpaciorkowcowa nie wywierała wyraźnego wpływu, zawsze atoli sprowadzała oddzielanie się błon fałszywych i polepszenie stanu ogólnego. Ciepłota, zależnie od powikłań, wywołanych przez powyżej wskazane drobnoustroje, pod wpływem surowicy swoistej szybko się zniżała; w przeciwnym razie pozostawała bez zmiany. Fakt ten wyraźnie świadczy, że paciorkowce nie są przyczyną szkarlatyny. Na zasadzie swoich doświadczeń dr. Marmorek przychodzi do przekonania, iż surowica przeciwpaciorkowcowa odda z czasem wielkie usługi w leczeniu owej ciężkiej choroby. Oby ta przyszłość jaknajszybciej się przybliżyła!

Instytut elektrochemiczny. Nieobojętną będzie dla naszej młodzieży wiadomość, iż obecnie w Getyndze rozpoczyna działalność naukową ten nowy zakład. Twórcą jego jest dr. Walter Nernst, młody i wielce zdolny uczony. Dzięki zrozumieniu doniosłości tej gałęzi nauki przez społeczeństwo ukształcone, zakład otrzymał 60,000 marek na same tylko urządzenia i środki naukowe. Obecnie wykończany jest gmach, odpowiadający wszelkim wymaganiom nowoczesnym. Pracownia ta, przeznaczona wyłącznie dla badań fizyczno-chemicznych, da każdemu ze specyalistów możność prowadzenia doświadczeń oddzielnie, w stosownem pomieszczeniu. W tym celu dolne piętro, zagłębione nieco pod poziomem, składa się przeważnie z niewielkich pokojów, zaopatrzonych w środki i narzędzia niezbędne. Są tam salki, przeznaczone do badań kalorymetrycznych, względnie o stałej temperaturze, ciemnice do badań optycznych, pokoje o specyalnych fundamentach dla czułych przyrządów elektromierniczych. Na piętrze tem są także składy dla prostych przyrządów i preparatów chemicznych, dalej warsztat mechaniczny i lokal odosobniony, gdzie umieszczono wielką machinę dynamo-elektryczną. Piętro górne przeznaczono specyalnie na dwie sale wykładowe, bibliotekę podręczną, już obecnie bardzo bogatą, laboratoryum do prac wyłącznie chemicznych, gabinet i pracownię dyrektora. Nadto jest tam kilka salek do badań specyalnych. Obecnie wszystkich pracujących w instytucie, wraz z dwoma asystentami, jest 15-tu. Zakład ten znalazł się w wyjątkowo bogatych i przyjaznych warunkach. Obok bowiem niezwykłego uposażenia, posiada znakomitego kierownika tudzież idealne ułatwienia pracy i daje możność korzystania z innych instytutów oraz wykładów specyalnych wszechnicy „Jerzego-Augusta“ w Getyndze, prowadzonych przez niepospolitych profesorów. Wobec niewielkiej liczby takich ognisk w świecie cywilizowanym, nowy zakład jest nabytkiem bardzo cennym dla nauki doświadczalnej, tem bardziej, że chemia fizyczna i elektrochemia znalazły dziś praktyczne zastosowanie w różnych odłamach wiedzy i przemysłu i są ogromnym czynnikiem postępu powszechnego tudzież nieocenionem ułatwieniem wszelkich wynalazków.

LITERATURA I SZTUKA.

NASZA UMYSŁOWOŚĆ SPÓŁCZESNA.

I.

Ignacy Matuszewski: *Czarnoksięstwo i mediumizm*, studyum historyczno-porównawcze. Warszawa, 1896, str. 274. — Gebethner i Wolff: *Katalog dzieł nakładowych lub w większej ilości nabytych*, Kraków, 1894, str. 168. — St. I. Czarnowski, mag. pr.: *Dziennikarstwo słowiańskie i polskie*, Kraków, 1895, str. 199.

Praca Ignacego Matuszewskiego roztrząsająca objaw najświeższego u nas, niedawno zapoczątkowanego nastroju umysłów, zawiera nie-

złą przenośnię, uwydatniającą omylność rozumu ludzkiego i ograniczoność pola zmysłowych naszych postrzeżeń. To, co my znamy — powiada autor — nie jest światem bezwzględnym, światem samym w sobie, lecz naszem wyobrażeniem o świecie — wyobrażeniem istoty dwunożnej o pięciu lichych zmysłach, nie mającej dokładnego pojęcia ani o tem, co jest nieskończenie wielkiem, ani o tem, co jest nieskończenie małem. Stosunek umysłowości człowieka do istoty zjawisk da się najlepiej przedstawić z pomocą obranego porównania. Wyobraźmy sobie pokój, w którym jedna ściana zrobiona jest z tafli zwierciadlanej, obwieszonej dokoła płachtami w ten sposób, że tylko w samym środku przegląda mały kwadracik lustra. Przed tą ścianą siedzi grono ludzi, upośledzonych o tyle, że nie mogą spojrzeć po za siebie, ani podnieść płacht przed sobą, o wszystkiem więc, co się dzieje po za ich plecami, dowiadują się jedynie z odbicia przedmiotów w dostrzegalnym kawałku zwierciadła. Grono tych ludzi — to my, przedmioty za nami stojące i poruszające się — to istota rzeczy. Zwierciadło wyobraża naszą świadomość, a zjawiające się i niknące w niem odbicia — to nasz świat niby to realny. Z ruchu i położenia obrazów zwierciadlanych możemy wyciągać pewne wnioski o naturze przedmiotów rzeczywistych, istniejących w głębi pokoju, ale będą to tylko wnioski hypotetyczne... Przypuśćmyż teraz, że z ustronnego kąta, który się nie odbije w widzianym przez nas kawałku lustra, rzuci ktoś piłkę w kącik drugi, tak samo niedostępny dla naszych postrzeżeń. Patrząc w zwierciadło, zauważymy przelatujący w powietrzu przedmiot, ale ani przyczyny ruchu, ani jego celu nie dostrzeżemy (str. 233).

Zgódźmy się bez kłótni na powyższe założenie. Izdebka, tak urządzona, jest, co prawda, nieco za ciasna, niemożność zaś oglądania się po za siebie, zanadto krępująca i uciążliwa. Ale, bądź co bądź, w zwierciadle — choćby ono nie było czarodziejskiem — coś niecoś niezawodnie da się spostrzedz.

Przeleciała oto piłka (za nami?) zwana medyumizmem, poprzedzona podobno zwrotem, któremu nadano miano reakcyi przeciwko niektórym wybujałościom i nadużyciom kierunku pozytywistycznego. Nawet celniejsi przedstawiciele poprzedniego okresu, jak np. dr. Piotr Chmielowski, zaznaczają, że reakcya istotnie się ujawniła. Mniejsza o jej nazwę. Oznaczmy ją, wraz z głównym jej symptomatem medyumistycznym, literą *Z*. Piłek takich mieliśmy już w przeszłości kilka: w wieku XVI — początki renesansu włoskiego, w XVII—powrót do scholastyki, w XVIII pseudo-klasycyzm francuski, następnie romantyczny idealizm niemiecki, dalej pozytywizm przeważnie angielski... Gleba historyczna uwarstwiła się należycie i nie powinnibyśmy doznać zbyt wielkiej trudności w ułożeniu takiego równania, w którem, z pomocą ilości znanych, określićbyśmy mogli wartość nieznanego *Z*.

Na mocy samego założenia, jedynie przyczyna i cel w nadlatującej piłce nie podlegają sprawdzeniu. Wszystko inne — np. szybkość biegu, kierunek, są do skonstatowania. Ponieważ zoczyliśmy lot zjawiska, więc w kamerze doświadczalnej nie było ciemno — a stąd wniosek, że w zwierciadle odbywać się może jakieś-kolwiek „otoczenie,“ wśród którego piłka przebiega. Jest zapewne kawałek powały złoconej w prostokąty średniowiecznego odrodzenia, jest jakaś cząstka posadzki porysowanej romantycznie, jest może piec kaflowy, wzniesiony według pozytywnych praw ciśnienia atmosferycznego, może parę krzeseł stylowo mieszanych, zgodnie z duchem czasu, a w dodatku — nie szafa, to wieszadło, nie kredens, to drzwi— i już z konieczności spostrzedz musimy własne swoje twarze. Baczne wejrzenie w to środowisko, uważniejsze zdanie z niego sobie sprawy, staje się pierwszą, nieodbitą potrzebą badania, obowiązkiem roztropności śledczej — naukowo-śledczej.

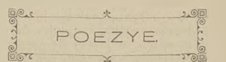
Medyumizm zamanifestował się u nas najdobitniej i najsilniej w r. 1894. Zachodzi więc pytanie, jaki w owym czasie był stan naszej świadomości zbiorowej, jaka gleba umiejętnych uzdolnień społeczeństwa, jaki stopień ekonomicznych, moralnych i umysłowych zasobów? Jeżeliśmy się w zwierciadle zapatrzyli wyłącznie na błyskawiczne mignięcie najświeższej „piłki,“ jeżeli na tej jednej obserwacyi poprzestać zamierzamy i w niej zatopić postanowiliśmy wszystkie nasze zmysły, w takim razie nie ma o czem mówić: wybierajmy się czemrychlej do Tworków... Ale, jeśli komu nie tak znowu pilno w tamte strony, niech z nami pofatygować się raczy do pp. Gebethnera i Wolffa.

Właśnie w pomienionej dobie wydali oni dokładny wizerunek naszego „otoczenia“ — prawdziwy inwentarz dóbr i nabytków duchowych polskich w okresie ostatnich lat kilkunastu. Wizerunek nie obejmuje wprawdzie liczebnego ryczałtu działalności naszej teoretyczno-towarzyskiej, cywilizacyjnej; wszakże wyraz jej ogólny, ustosunkowanie jej części składowych, uzewnętrznia się tu najdokładniej, typowo. Nie jest to, w dodatku, żaden obraz sztukowany, podrabiany, podmalowywany subjektywnie, na sposób podręczników i kompendyów literacko-artystycznych, układanych i wyrównywanych według danego założenia, danej myśli przewodniej. To nie traktat o tem, w jaki sposób publiczność nasza odżywiać się powinna intelektualnie, etycznie i estetycznie, lecz najprostszy, najwiarogodniejszy referat z tego, czem ta publiczność faktycznie zaspokaja swoje pragnienia światła, swój głód wiedzy — czem się pozytywnie karmi, jako organizacya psychiczna, jako jestestwo rozumne, myślące, zastanawiające się nad wyborem przeznaczeń swych przyszłych, najbliższych. W zarysie najtreściwszym główne tło owego katalogowego zwierciadełka ma wygląd następujący:

Obszar w niem najrozleglejszy, tak pod względem przestrzeni, jak czasu, zajmuje romans — literatura powieściowa, z bardzo drobnym dodatkiem rozgałęzień poetyckich i scenicznych (dramat, komedya). W izdebce, do której, na podstawie zawartej umowy z p. Ign. Matuszewskim, jesteśmy przykuci, ma pozór obić, dywanów, portyer, firanek. Należałoby ozdoby te jak najstaranniej przetrząsnąć po wszystkich fałdach, szwach i podrzyciach. Cóż, kiedy wstawać z przed zwierciadła z siedzeń, nie mamy prawa — chyba za specyalnem upoważnieniem. Zastrzeżmy to sobie na później zaznaczywszy na razie dwie tylko okoliczności, mające dla naszego dochodzenia wagę pierwszorzędną. Zarówno ze swego pochodzenia, jak i rozwoju na naszej widowni, powieść aż do naszych czasów pozostała w ogromnej, przeważającej mierze fikcyą, zmyśleniem estetycznem, sprzyjającem (a jak u nas, to i nadmiernie) kultowi złudzeń, omamień, niespodzianek i nadzwyczajności. Uprawiana ciągle z wytrwałością niezmordowaną, beletrystyka ściągnęła ku sobie pochłaniającą część naszego czytelnictwa, posiadła bezwzględne fawory wykształceńszego ogółu, szukającego w lekturze rozrywki. Pomimo to, na korzyść zaakcentowanego przez nas położenia zapisać trzeba: 1) fakt, iż zamiłowanie do utworów lekkich, powiewnych, chwiejnych, podanych w formie ponętnej, zabarwionych „cudownie,“ urosło u nas jeszcze w okresie, z którego bogatą tradycyę zostawili po sobie: Kraszewski, Korzeniowski, Zacharyasiewicz; dziś przeto ma się tu do czynienia z pewnego rodzaju nałogiem, stokroć wszakże uczciwszym i szlachetniejszym od tylu innych, przekazanych nam i wśród nas utrwalonych przez przeszłość; 2) powieść tegoczesna, w zestawieniu z dawną, zyskała niemało na powadze, wskutek widocznego zejścia na poziomy rzeczywistości obecnej, wskutek przyjęcia w siebie większej, niżli się dotąd praktykowało, ilości pierwiastków realnych, których przypływ na niwy poprzedniej naszej idealizacyi, stał się, zdaniem jednego z celniejszych i zasłużeńszych krytyków polskich, „mułem niezbędnym do użyźnienia zjałowiałego od tak dawna gruntu“ (Spasowicz, *Studya nie z natury*, str. 9). Bezwątpienia, podnieśćby należało wątpliwość, czy wyziewność owych elementów nawozowych istotnie wpływa na nas orzeźwiająco i trzeźwiąco, nie zaś odurzająco—ale ustępujemy i z tego punktu.

Obok powieściopisarstwa, drugie po niem miejsce w najświeższym przeglądzie naszego piśmiennictwa, pojętego jako odzwierciedlenie oblicza duszy i jej środowiska, zajmują książki treści religijnej i nabożnej.

J. Tokarzewicz (Hodi).



MROKIEM

Szarą godziną, cichym mrokiem
Od pól dalekich i od boru,
Powietrzem wolnem a szerokiem,
Płynie powoli pieśń wieczoru...

Płynie po rosie, z echem leci,
Na serce smutkiem ciężkim pada,
Łzą brylantową w oku świeci,
Na progu chaty smętna siada...

Niby to pieści i kołysze,
Duszę oplącze i omota,
Aż zasłuchane w nocną ciszę
Serce zabierze ci tęsknota...

Kędyś nad pola, nad zagony
Płynie i płynie pieśń-tęsknica,
Z sobą w dalekie niesie strony
Skradzione serce czarownica...

Mrka.

W DALI.

Radom. W okolicach Przedborza, pow. Koneckim, odkryto pokłady rudy żelaznej i węgla. Obecnie czynione są poszukiwania w majątku sąsiednim, Korytnie. — Jedna z dzielnic miasta, mianowicie ulica Wałowa, oddawna pozostawała pod uciskiem oszustów, rabusiów i złodziei, skutkiem czego handel doszedł tam niemal do zupełnego upadku. Nareszcie przyszły z pomocą władze sądowe, dzięki podaniu zbiorowemu 25-ciu mieszkańców tej nieszczęśliwej ulicy. Śledztwo stwierdziło istnienie szajki złodziejskiej, która powstała w końcu r. 1892. Miała ona na celu nietylko kradzieże, oszustwa, rabunek i napady na mieszkańców, lecz okradała także przyjeżdżających z różnymi interesami handlowymi i kupieckimi, tudzież włościan, przybyłych na targi w niedziele i czwartki. Szajka w r. 1894 liczyła już przeszło 50 wspólników. Właściciele domów, sklepów, szynków, jadłodajni, pomimo, że wiedzieli o ich istnieniu, nie chcieli przez długi czas wystąpić ze skargą, gdyż złoczyńcy grozili zabójstwem. Trzymali się oni tak solidarnie, że w razie ścigania którego z kolegów, otaczali goniącego, czasem go bili i obdzierali. W ciągu dwu lat spełniono 770 różnych kradzieży. Do grona pośredników należał także jeden szewc i właściciel garkuchni, Blat, u którego odbywały się wiece nocne. Głównymi zaś działaczami byli: Izrael Szerman, zwany „wójtem,“ Szczepkin, odznaczający się

wielką siłą fizyczną, i Frimetta Tenenbaumowa, przezwana „matką złodziei.“ Miała ona pod swą opieką nieletnich, którzy trudnili się przeważnie kradzieżą kieszonkową. Na zasadzie dowodów, zebranych przez śledztwo, 43-m pojmanymi osadzonym w więzieniu przestępcom wytoczono proces kryminalny. Do sprawy wezwano 194 świadków. Po kilkodniowych rozprawach wyrok zapadł następujący: Dwudziestu dwu podsądnych: Teodora Szczepkina, Joska Kolendra, Nutę Grossfelda, Szmerka Neistempla, Jana Parfenowa, Herszka Wiatraka, Ewę Łęczyńską, Moszka Rozensteina, Izraela Szermana, Abrahama Tenenbauma, Jankla Kaufmana, Moszka Białskiego, Antoniego Zienieckiego, Icka Wajcmana, Szyję Goldszmita, Szlamę Malacha, Herszka Goldszlegera, Symchę Rosenblatta, Dawida Rozencweiga, Icka Rubinsteina, Izraela Birenbauma i Chaima Podwójnego skazano, po pozbawieniu wszystkich praw stanu i przywilejów, na zesłanie do więcej oddalonych miejscowości Syberyi. Moszka Blatta z pozbawieniem wszystkich szczególnych praw i przywilejów na 1½ roku rot aresztanckich. Ludwika Kaśniewskiego skazano po pozbawieniu wszystkich praw stanu i przywilejów na 3 lata rot aresztanckich. Następnie dwunastu podsądnych: Szmula Reicha, Chila Tenenbauma, Szmula Lewmana, Chaima Tenenbauma, Lejbusia Goldberga, Herszka Habera, po pozbawieniu wszystkich praw i przywilejów po 3 lata rot aresztanckich każdego; Abrahama Wajcmana, Dawida Rachfelda, Majera Podwójnego i Moszka Flaumenbauma, z powodu ich niepełnoletności, bez pozbawienia praw i przywilejów, do więzienia po 2½ lat każdego; nakonice Ruchlę Talmanową, Frimettę Tenenbaumową po 3 lata więzienia z pozbawieniem praw i przywilejów. Moszka Goldratba (12-letniego) bez pozbawienia praw i przyw. na 3 lata i 4 miesiące więzienia. Mendel Grünzweig (jedyny oskarżony odpowiadający z wolności) skazany na rok rot aresztanckich z pozbawieniem praw i przywilejów. Resztę podsądnych: Agnieszkę Zieleniecką, Borucha Lotermana, Zacharyasza Blajwassa, Abrahama Wajntrauba i Szaję Goldwassera sąd uniewinnił zupełnie.

Lublin. Gazeta miejscowa zaznaczyła pilną potrzebę szkoły techniczno-przemysłowej dla miasta. Otóż ktoś za pośrednictwem tego samego organu podaje łatwy sposób szybkiego zadość uczynienia potrzebie. Mianowicie proponuje, ażeby p. Osuchowski swoją szkołę zamienił na techniczno-rzemieślniczą, do czego służy mu najzupełniejsze prawo, a przytem posiada on komplet nauczycieli odpowiednich, których uzupełnić trzeba tylko specyalistami w zakresie rzemiosł. Chodzi wszakże o to, ażeby zarząd miasta udzielił zapomogi dla zakładu. Skoro zarządy miast: Koła, Konina i Sieradza dają po 500 rs. na szkoły prywatne, a Kalisz nawet 1,000 rs. corocznie na realną, to chyba Lublin powstydziłby się odmowy.

Z Polesia Rzeczyckiego. W chwili gdy rolnicy zaczęli się pozbywać piórowstrętu i czasem dawać, choć słabe, znaki życia ze swych zakątków w prasie, przeglądam te ich głosy z ciekawością i przyznam się, najczęściej jestem niezadowolony z braci po pługu, bez względu, czy to są autorowie z ustalonem imieniem, czy zwykli śmiertelnicy. Słabą stroną tego rodzaju informacyj jest wprowadzenie w błąd czytelnika. Korespondencya nieraz tak wygląda, jakby autor objechał duży kawał kraju, widział co się w nim dzieje i pisze o tem co widział. Tymczasem korespondent od kilkunastu lat może po za miedzę swoję kroku nie zrobił i „strzela bąki“ jak np. ktoś z Nowogródzkiego o przędzalni jedwabiu u pana Śliźnia, albo p. Tarło z Kobrynia w *Rolniku i Hodowcy*. Korespondencya jego zrobiła na mnie takie wrażenie: oto szlachcic syty i zadowolony z własnego powodzenia i wyjątkowych warunków, w jakich się znajduje jego „zaścianek,“ po dobrym obiedzie i wywczasie, siada i pisze receptę dla rolników. Żebyż swoje medykamenty ofiarował sąsiadom o miedzę, ale gdzie tam; pan Tarło chce wyleczyć cały „kraj północno-zachodni,“ z niewielkim wyjątkiem! Tymczasem okazuje się z dalszego ciągu korespondencyi, że myśli jego wciąż się obracają około miedzy „zaścianka,“ że stosunki tego kraju tak mu są znane, jak pustynie Australii. Pan Tarło nie wierzy, że cena na wywary spadła do 1 r. 50 kop. za pud, bo od niego sąsiad żądał po 3 r. 50 k. Każe sprzedawać żyto chłopom w całym kraju bo u niego w „zaścianku“ są chłopi głodni. Każe brać po 60 kop. za pud żyta „w kraju północno-zachodnim,“ bo u niego w Kobryniu taka cena. Dalej: urodzaj żyta i kartofli musi być dobry w całym kraju, bo dobry był u p. Tarły, a u jego sąsiada jeszcze lepszy. Doprawdy dziwna rzecz, jak ci rolnicy bezzasadnie narzekają, aż wstyd! W odpowiedzi panu Tarle chcę skreślić obrazek innego zaścianka z powiatu Rzeczyckiego, nie dotykając interesów całego kraju, którego nie znam. Oto w promieniu 3—7 wiorstowym mam trzy gorzelnie. W dwu wywary nie sprzedane, bo nie było nabywców. W trzeciej sprzedano po 2 rs. 70 kop. i to jest cena wyjątkowo dobra. Urodzaj kartofli w moim zakątku przeciętnie wypadł 500 pud. z dziesięciny i mimo plonu nieświetnego, ludzie nie posiadający gorzelni nie mają gdzie podziać tego ziemiopłodu, nawet po znacznie niższej cenie, niż p. Tarło naznaczyć raczył, bo po 9 kop. za pud. Od przeszłej wiosny aż do zimy cena żyta na tak zwanym rynku miejscowym była 33 kop. za pud, owies 40 kop. Obecnie cena pierwszego podniosła się do 40 kop., drugiego—została bez zmiany. Chłop poleski prawdopodobnie nie tak głodny, jak w Kobryniu, bo ani we dworze, ani u pośredników-żydów żyta nie kupuje nigdy, a jakoś własnym urodzajem się obywa. Przeszła zima dla oziminy była zgubną: ziemia nie zamarzła, śnieg był głęboki, nie mieliśmy więc takich plonów, jak Kobryń. Przytem trzy lata z rzędu mokre psuły nam urodzaje. Kartofle wymakały, żyto, owies i reszta przerastało w kopach. Łąki błotne zalane, siana więc mało i w złym gatunku, koniczyny gniły koszone i nie koszone. Oto obraz drugiego zaścianka. Niech że pan Tarło poradzi nam lekarstwo.

Poleszuk.

Petersburg. Specyalna komisya pod przewodnictwem p. ministra oświaty hr. I. D. Delianowa opracowała przepisy, dotyczące przyjmowania słuchaczek na kursy lekarskie w Petersburgu w roku szkolnym 1896—97. Pierwotny komplet oznaczono na 125. Osoby, pragnące wstąpić do instytutu, będą zapisywane w następującym porządku: przedewszystkiem te, które ukończyły zupełny kurs nauk na wydziale filologiczno-historycznym lub fizyczno-matematycznym wyższych kursów żeńskich w Petersburgu; następnie te, które przeszły kurs pomocnic lekarskich i felczerek, dalej z gimnazyum klasycznego w Moskwie, a wreszcie z gimnazyów żeńskich. Z kursów filologicznych słuchaczki przyjęte będą bez egzaminu, z fizyczno-matematycznych za złożeniem świadectwa z języka łacińskiego, a wszystkie—inne na mocy świadectw z łaciny, otrzymanych z gimnazyów klasycznych męskich.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W tutejszym Instytucie głuchoniemych i ociemniałych ma być zastosowany przyrząd systemu dr. Urbanowicza z Wiednia, usuwający głuchotę. Według spostrzeżeń wynalazcy, przyrząd ten oddaje istotne przysługi tam, gdzie brak słuchu jest wynikiem choroby itp. Głuchota z natury jest bardzo rzadka i nie wynosi więcej nad 2 do 3%.

— Dnia 17 kwietnia r. b. przypada setna rocznica urodzin Stanisława Jachowicza, bajkopisarza i głośnego filantropa.

— Filantropki warszawskie postanowiły zawiązać „Towarzystwo opieki nad chorymi nerwowo i umysłowo.“

— Mieszkańcy Włocławka starają się o założenie Towarzystwa wzajemnego kredytu, które rozpocznie działalność, gdy zbierze się przynajmniej 50 członków i suma 50,000 rs. Nowa instytucya będzie się zajmować dyskontem weksli, wydawaniem przekazów, otwieraniem rachunków bieżących dla członków, przyjmowaniem zastawów, wydawaniem pożyczek 6-cio-miesięcznych na zastaw papierów procentowych, towarów, frachtów itd.

— Rząd włoski zawiadamia, że wstępu przez granicę dozwalać należy tylko tym emigrantom, za których agent, zamieszkały we Włoszech, zobowiąże się ponosić wszelkie koszty aż do chwili, gdy wsiądą na okręt. Stosownie do tego, władze w Galicyi otrzymały polecenie, aby od wychodźców żądały wykazania takich poświadczeń i potwierdziły je w pasportach. Emigranci bez tych dowodów nie będą dopuszczeni do podróży.

Wyjaśnienie. Departament podatków niestałych ogłasza w *Praw. Wiestn.* szereg wyjaśnień, dotyczących przepisów pasportowych. Ze złożonych podań okazuje się, że niektóre instytucye przy wydawaniu książeczek pasportowych żądają obowiązkowego naklejania na nich marki rublowej i że zdarzają się takie wypadki, w których władze policyjne wymagają od właścicieli pasportów opłaty podatku rublowego. Wszystkie te żądania uważa komisya za nie mające żadnego uzasadnienia w prawie. Podatek pasportowy nie jest właściwie określonym, stałym, przeciwnie—zalicza się do kategoryi stempla, pobieranego tylko w tym wypadku, jeżeli ktoś pragnie skorzystać z pasportu w celu stwierdzenia swej osobistości, ale i w tym razie stempel pobiera się najwyżej raz do roku i to wtedy tylko, kiedy pasport służy za dokument osobisty (art. 67 ust.). Dlatego też z uwagi, że osoba biorąca pasport może nie skorzystać z niego w pierwszym roku po wykupieniu i w ciągu lat następnych, opłacanie stempla przy wyjmowaniu owego dokumentu niczem nie może być uzasadnione. Również poważnem naruszeniem prawa jest żądanie obowiązkowej corocznej opłaty podatku stemplowego w wysokości rubla. Nawet w tych miejscowościach, gdzie obowiązkowe jest zapisywanie t. zw. świadectw zamieszkania, mogą się zdarzać wypadki, że właściciel pasportu nie jest obowiązany opłacać podatku rublowego w ciągu całych lat, jeżeli np. pozostaje wciąż na tem samem mieszkaniu i nie potrzebuje pasportu, jako dokumentu stwierdzającego tożsamość osoby.

Szkoły. Egzaminy w uniwersytecie warszawskim rozpoczną się 21 kwietnia.

— Nowa szkoła mechaniczno-techniczna w Warszawie otwiera w r. b. oddział budowlany.

— Ministeryum komunikacyi pozwoliło inżenierom, wyróżniającym się swojemi pracami naukowemi, uzyskiwać za pomoc obrony rozpraw tytuł „adjunkta Instytutu inżenierów,“ bez obowiązku wykładania w szk.

Wystawy i zjazdy. W maju odbędzie się zjazd przedstawicieli towarzystw asekuracyjnych. Najważniejszymi są projekty zniżenia premij od budynków rolniczych, magazynów zbożowych itd.

— Opracowano ostatecznie program zjazdów młynarskich, na wzór górniczych. Podatek jest obowiązkowy na ten cel i stosuje się do wszystkich młynów, przerabiających więcej niż 500 pudów na dobę. Stosunek jest następujący: dla młynów z produkcyą od 500 do 1,500 pudów na dobę 25 rs. rocznie; do 2,500 p. — 75 rs., do 4,000 p. — 100 rs., do 6,000 p. — 200 rs., do 8,000 p. — 300 rs. i dla większych po 400 rs. rocznie.

— D 27 maja otwarta będzie w Warszawie wystawa koni wierzchowych.

— W Berlinie utworzył się komitet, który zwoła w r. b. wielki międzynarodowy kongres niewieści. Roztrząsane będą na nim sprawy, mające związek z pracą kobiet i dążeniami do polepszenia ich bytu. Wiec odbędzie się między 19 a 27 września. Dotychczas zapowiedziano referaty: „O ruchu kobiecym w teraźniejszości,“ „O wychowaniu dzieci,“ „O szkole ludowej,“ „O szkołach wyższych dla dziewcząt,“ „O studyach specyalnych,“ „O kobietach w przemyśle“ itp. Wszelkich informacyj udziela p. Lina Morgenstern (Berlin, Grossbeerenstrasse 5, od d. 1 kwietnia Potsdamerstrasse 92), oraz pani Ichenhaeuser (Berlin, Flensburgerstrasse 30).

— W Moskwie otwarto wystawę fotograficzną.

— Trzeci z rzędu międzynarodowy kongres psychologów odbędzie się w Monachium pomiędzy 4 a 7 sierpnia r. b. Kobiety są do obrad dopuszczone. Będzie wydawany osobny dziennik. Językami, uprawnionymi na tym wiecu, są: niemiecki, francuski, angielski i włoski.

Koleje i komunikacye. W kwietniu otwarta będzie nowa odnoga kolei Nadwiślańskiej, skracająca znacznie odległość między Warszawą i Wawrem. Dla publiczności, przebywającej na letnich mieszkaniach, będzie to udogodnienie znaczne. Jednocześnie wybudowano przystanek w Targówku.

— Ukończono studya w celu budowy kolei od Astrachania przez Krasny Jar do Kamyszyna.

Konkurs. Rozstrzygnięto konkurs Towarzystwa racyonalnego polowania w Warszawie, na napisanie monografii o sarnie, zającu i kuropatwie. Nagrodę w sumie rs. 250 przyznano pracy p. t. „Kuropatwa szara czyli pospolita,“ przez p. Juliusza Bieslekierskiego. Nadto wyróżniono pracę p. t. „Opisanie natury i obyczajów u zająca,“ przez p. Michala Sochackiego. Wobec niezupełnie zadawalającego wyniku, zaprojektował o przedłużenie konkursu na monografie o sarnie i zającu do 1 marca 1897 r.

Sądy. Wyrok sądu okręgowego w Lublinie rozstrzygnął obecnie spór o Gościeradów. Testament Eligiusza hr. Suchodolskiego zatwierdzono, żądania zaś brata, Edmunda, o unieważnienie zapisu— oddalono, nadto skazano go na zwrot kosztów sądowych (rs. 369 k. 20). Jak wiadomo, nieboszczyk, oprócz licznych legatów dla różnych instytucyj i osób prywatnych zapisał swe dobra Towarzystwu dobroczynności w Warszawie, z obowiązkiem urządzenia w palacu szpitala dla chorych płci obojej wyznania katolickiego, z pierwszeństwem dla szlachty. Z tych dóbr dożywotnio korzystać może brat zmarłego.

Zdrowie publiczne. W Moskwie na Dziewiczem polu otwarto Instytut ginekologiczny dla lekarzy.

Wypadki. Z Katowic donoszą, że skutkiem pożaru w kopalni „Kleofas“ zginęło 100 górników i 23 konie. (*Kuryer warsz.*).

— Wylew Dunaju wyrządził znaczne szkody w Austryi Wyższej. W Salzburgu (pod Untersteinem) tunel runął skutkiem wezbrania wód.

— Z Wiednia telegrafują, iż z powodu zamieci śnieżnych 27 linij telegraficznych jest przerwanych. Słupy popadały. Także linie telefoniczne nie działają. Z Tyrolu i Szwajcaryi donoszą o powodziach. Połowa Karlsbadu ucierpiała.

Zmarli. Dr. Hugo Zathey, w Krakowie; literat i dyrektor państwowej szkoły realnej.

— Prof. Berszadski, w Petersburgu; autor prac historyczno-prawnych o Polsce i Litwie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani H. P. (Sz. Ż.). Rękopis wraz z listem czeka na odbiór w Administracyi naszej.

A. R. Podniesiemy tę sprawę, zebrawszy odpowiedni materyał.

Prenumeratorowi A. W. w Kijowie. „Flora polska“ J. Wagi i J. Rostafińskiego.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 1 Марта 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8